



Harlequin SPECIAL

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Trzy opowiadania,
które rozgrzeją Wasze serca.
Trzy historie pachnące świątecznym ciastem.
Trzy doświadczone przez życie pary bohaterów,
którym opatrzność sprawiła na Boże Narodzenie
najwspanialszy prezent - miłość.

SUSAN WIGGS
KOPCIUSZEK

BOBBY HUTCHINSON
DZIECIAKI GRADY'EGO

KAREN YOUNG
MUSI ZDARZYĆ SIĘ CUD

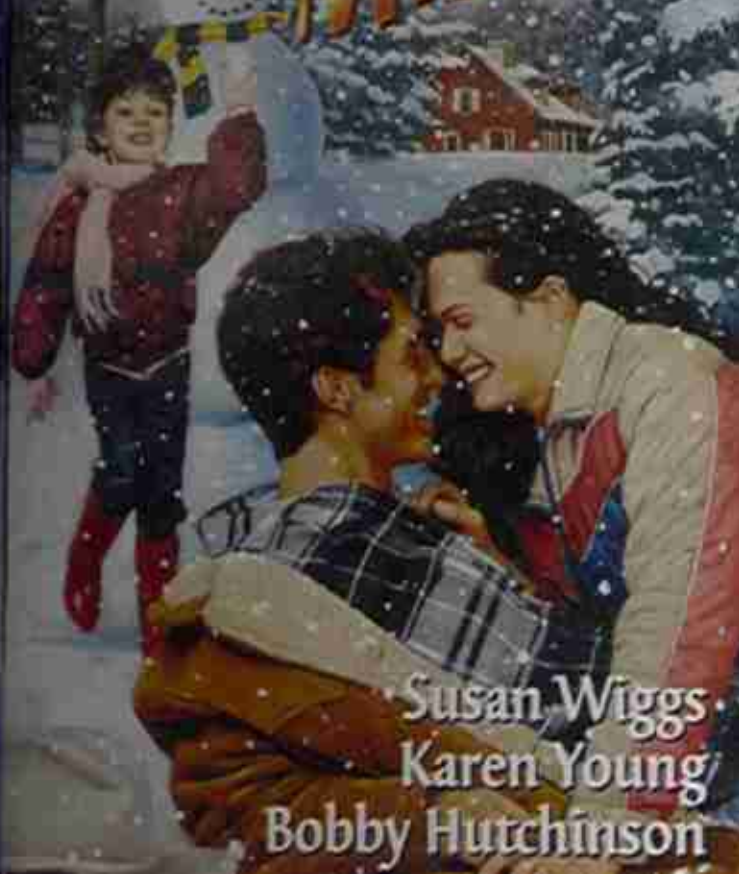
CENA 8,20 ZŁ

NR 11 (8) CENA 8,20 ZŁ IZDANIE 320158



Harlequin SPECIAL

GWIAZDKA MIŁOŚCI



Susan Wiggs
Karen Young
Bobby Hutchinson



Susan Wiggs



Kopciuszek

Rozdział 1

Idziesz na bal, Riley?

- Daj spokój, Brad,. Za wysokie progi na Riley'a nogi - powiedział Derek.

Jack Riley nie reagował na docinki kolegów. Od dłuższej chwili, ze skupieniem godnym mistrza zen, kontemlował czubki swoich zniszczonych butów. W końcu przeniósł wzrok na prezent od dzieciaków ze schroniska - najmniejszą na świecie choinkę, którą przymocował dziś rano do monitora swego komputera.

Tonący w bałaganie pokój redakcyjny, dzwoniące telefony, jarzeniowe żarówki i dwóch hałaśliwych kolegów - wszystko to zdaniem Jacka mogłoby zniknąć za jednym zdmuchnięciem.

- Spójrz na niego, staruszek Riley nie ma co na siebie włożyć. - Derek Crenshaw był dumny jak paw z nowego kaszmirowego swetra, który zafundowali mu jego nadopiekuńczy rodzice.

- Zajmijcie się sobą - sarknął Riley z irytacją, obciągając szarą koszulkę z godłem Uniwersytetu Columbia. - Mam czystą bluzę w torbie. Koledzy przyjęli tę informację głupawymi chichotami.

Byle co ich śmieszy, pomyślał z niesmakiem Jack i westchnął z dezaprobatą.

Zdjął nogi z biurka, wyjął ołówek zza ucha, poprawił okulary na nosie. Jego wzrok zatrzymał się na poniewierającym się na biurku zaproszeniu. Gdzieś pod stertami papierzysk powinna też leżeć suszka do atramentu kupiona za uzbierane z trudem groszaki przez malca, któremu niedawno pomógł.

Jack zerknął na tekst wydrukowany na kremowym kartoniku: „Panna Madeleine Langston ma zaszczyt zaprosić. .. Godzina dziewiąta... Apartament „Dakota”... Stroje wizytowe, czarny krawat...”.

- Wizytowe stroje - mruknął Jack, poprawiając daszek czapeczki baseballówki.

Panna Madeleine Langston ucieszyłaby się z całego serca, gdyby Jack

znikł z powierzchni ziemi. Dlaczego więc, u licha, go zaprosiła? Współczucie? Wyrzuty sumienia? A może młoda dziedziczka chciała spełnić dobry uczynek, zapraszając nic nie znaczącego faceta z Brooklynu? - zastanawiał się.

- Ej! Riley! - zawołał Derek, podchodząc z czarnym mazakiem. - Chcesz, narysuję ci czarny krawat na koszulce?

- Ej! Derek! - Jack bez trudu naśladował połu-dniowokalifornijski akcent kolegi. - Chcesz, przetrączę ci kark?

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

- Widzę, że ciężko pracujecie, panowie? - Ostre pytanie ucięło chichoty.

Jack spojrzał w stronę drzwi.

Stała tam, u wejścia. Lodowa dziewczica. Zimna bogini. Zmora jego życia. Naczelną tej cholernej gazety.

- Jack właśnie skończył - powiedział Derek pośpiesznie, zamknął mazak i dorzucił kolejny wydruk do bałaganu na biurku Jacka.

Madeleine Langston precyzyjnie przycisnęła się zręcznie w jego stronę, bez wysiłku lawirując w ciasnocie pokoju redakcyjnego, zupełnie jakby znała na pamięć układ mebli.

Odziedziczyła „Kurier” pół roku temu. Kiedy jej ojciec zmarł, wszyscy oczekiwali, że zamieszka w Hampton i będzie beztrudnie korzystała z pieniędzy płynących na jej konto. Rzeczywiście tak zrobiła, po czym, przed trzema tygodniami, wyrzuciła dotychczasowego naczelnego i objęła jego funkcję. Najwidoczniej miała trudności ze znalezieniem kogoś, kto byłby w stanie spełnić jej niebotyczne wymagania. Ku niezadowoleniu całej redakcji, sama przejęła ster rządów i zaczęła wprowadzać własne porządki.

Aż do zeszłego tygodnia trzymała się z daleka od działu miejskiego, przesiadując całymi dniami w swoim sterylnym gabinecie piętro wyżej.

Jack osobiście zetknął się z nią dotąd tylko raz. Niesamowita dziewczyna. Na jej widok zapominał o ostrym głosie, który znał przez telefon.

Wiedząc, że ją to zdenerwuje, ponownie oparł nogi na blacie biurka.

Była chyba jedyną kobietą na Manhattanie, która potrafiła tak nosić kostium, że po całym dniu pracy nie było na nim ani jednego zagniecenia.

To pewnie dlatego, że jest taka zimna, pomyślał. Śliczna, mądra i bogata. Za dużo tego. Miał ochotę odpukać w nie malowane drewno, by odzegnać zło, które bez wątpienia sprowadzi na niego ta czarownica. Gorzej, miał ochotę pójść z nią do łóżka i kochać się tak długo, aż zaczęłaby błagać o litość albo o jeszcze.

Stanęła przed jego biurkiem. Miał teraz okazję przyjrzeć się dokładnie pięknej twarzy: delikatne kości policzkowe i nos, który mógłby służyć za wzór chirurgom plastycznym, oczy niebieskie jak lazurowe morze, nieskazitelnie ułożone jasnoblond włosy.

Położyła palec na wargach i zastygła w tym geście na chwilę. Zdawała się czekać, sądząc widocznie, że dotąd jeszcze nie zwrócił na nią uwagi. (Jakby to było w ogóle możliwe!) Spojrzała z nie ukrywanym zdziwieniem na mikroskopijną choinkę wieńczącą monitor komputera. Jeśli oczekiwała, że Jack wstanie i zdejmie baseballówkę, to mogła czekać choćby i do wieczora.

- Skandal finansowy w zarządzie firmy budowlanej? - zagadnęła. Jej akcent nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że wychowała się w elicie społecznej i odebrała staranną edukację w prestiżowych uczelniach.

Jack uśmiechnął się krzywo i podrapał po nie golonej od tygodnia brodzie.

- Dlaczego nie zatrudni pani nowego naczelnego, który pogoniłby do roboty nasze leniwe stadko?

- To moja gazeta, panie Riley, i ja będę „gonić stadko”.

- Głupi pomysł, panno Langston - mruknął Jack, wyciągając spod stóp szarą teczkę i wręczając ją szefowej.

Gdy ją otwierała, na palcach błysnęły platynowe pierścionki z perłami. Na podłogę sfrunęła pusta torebka po chipsach. Panna Langston łaskawie udała, że tego nie zauważyła: Przerzuciła pospiesznie artykuł, nieznacznie skinęła głową i zapytała:

- A kontrowersje wokół, hm... opieki lekarskiej w szkole?

Jack parsknął śmiechem.

- Ma pani na myśli to, czy należy rozdawać prezerwatywy uczniom szkół średnich? - Obserwował z satysfakcją lekki rumieniec oblewający jej policzki. - Napisane. - Nie spuszczać oczu z twarzy panny Langston, stuknął kilka razy w klawiaturę. Drukarka wypluła po chwili wydruk.

Madeleine lekko zmarszczyła delikatny nosek.

- Panie Riley, jak taki uroczy człowiek, jak pan zdołał dotąd zachować swoje ciało w nie naruszonym stanie?

Uśmiechnął się szeroko i okręcił wokół palca kucyk na karku.

- Jestem szybki w nogach, kochanie.

Posłała mu pełne niesmaku spojrzenie, którego nie powstydziłaby się sama Katherine Hepburn.

- Rozumiem.

Wyjęła ciepły jeszcze wydruk z drukarki i dołożyła do dzierżonego pod pachą pliku papierów.

Jack odetchnął, gdy skierowała lodowate spojrzenie na Brada i Dereka.

- A wy, panowie? Macie gotowe materiały? To byłaby prawdziwa niespodzianka.

Gapili się na nią niczym dwóch grubasów na diecie na pudełko czekoladek.

Kretyni, pomyślał Jack. Założyli się pewnie, któremu z nich uda się zaciągnąć ją do łóżka. Jakby mieli jakieś szanse. Poza wszystkim chyba tylko polarnik przyzwyczajony do podbiegunowych temperatur mógłby mieć ochotę zbliżyć się do panny Langston. No i ja sam, Jack Riley, dodał w myślach z niesmakiem.

Reprezentowała wszystko to, czego nie znosił w kobietach. Musiał jednak przyznać, że nie spotkał dotąd równie seksownej dziewczyny. Miał na nią ochotę. Fatalnie. Miał ochotę stopić tę lodową powłokę. Cholera, to chyba jakaś perwersja.

- Jasne, panno Langston - powiedział Brad głosem sugerującym, że nie ma rzetelniejszego od niego dziennikarza.

- Mowa - dorzucił Derek.
- Znakomicie. - Madeleine odwróciła się do wyjścia. - Jeszcze jedno, panowie - rzuciła od progu, stukając obcasami butów wartych trzysta dolarów. - Zobaczą was dzisiaj w „Dakocie”?

- Oczywiście - zapewnili Derek i Brad jak na komendę, gotowi pocić się cały wieczór w smokingach.

Madeleine Langston spojrzała na Jacka. Do licha, naprawdę była ładna. Co za marnotrawstwo wspaniałych...

- A pan jakie ma plany? - zapytała, przerywając jego rozmyślenia.

Jack uznał, że nie będzie szedł na łatwiznę i nie powie, jakie ma naprawdę plany wobec jej osoby.

- Inne - odpowiedział i uśmiechnął się w duchu, widząc ulgę malującą się na twarzy panny Langston. - Umówiłem się z „miejskimi dzikusami”.

- Z „miejskimi dzikusami”? - zapytała, unosząc brwi.

- To taka grupka małolotów ze ślizgawki w Central Parku.

- Wielka szkoda.

Jack nie mógł powstrzymać śmiechu. Ale z niej zółza. Widzą się raptem drugi raz i już serdecznie nienawidzą. Miał wielką ochotę przyciąć jej.

- Może uda mi się wyrwać... - obiecał.

W jej pięknych niebieskich oczach pojawiło się niezadowolenie. Jak na lodowatą boginię była kiepskim kłamcą, a fakt, że zwykła się czerwienić, czynił z niej niemal ludzką istotę.

- A jeśli nie, to nie martw się, księżniczko - dodał pocieszająco i wrzucił zaproszenie do kosza na śmieci obok biurka. - Księżę ma inne plany.

Rozdział 2

Suknia Madeleine Langston była bez zarzutu, podobnie zresztą jak apartament w „Dakocie”, choinka udekorowana przez projektanta, swingująca muzyka orkiestry, grono gości i przekąska, którą Madeleine trzymała w dłoni.

- Madeleine, kochanie! - William Wornich, redaktor rubryki towarzyskiej w „Kurierze”, cmoknął powietrze o milimetry od jej policzka. - Cudowne przyjęcie. Prawdziwy bal z bajki.

- Dziękuję, Williamie.

Dym z cygara Williama gryzł w oczy.

Do licha! Będzie musiała wyjąć szkła kontaktowe, a bez nich nie widzi najlepiej.

Wornich cofnął się o krok i obrzucił ją pełnym znawstwa spojrzeniem.

- Znakomita suknia. Skąd ją masz? Posłała mu wyćwiczony uśmiech.

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. - Wyszywana dżetami toaleta z czarnej tafty, szyta w latach czterdziestych, należała kiedyś do jej babki. Idealna suknia do tańca. Problem w tym, że wokół nie było nikogo, z kim miałyby ochotę zatańczyć.

Och, tatusiu, westchnęła w duchu, jakby chciała przywołać go na pomoc. Wspomnienie zmarłego ojca było tak wyraziste, jak niekiedy potrafią być zapamiętane z przeszłości smaki lub zapachy. Ogromny apartament w „Dakocie” należał właśnie do niego. W przyszłym tygodniu miał zostać sprzedany. Czuła się dziwnie, znalazłszy się znowu tutaj, wśród ludzi, których kiedyś znał. To on zaplanował to przyjęcie na wiele miesięcy naprzód, nie przewidując, że nie będzie już pełnił podczas niego honorów gospodarza. Fakt, że zdecydowała się jednak wydać przyjęcie w miejscu pełnym bolesnych i słodkich zarazem wspomnień, miał swoją dobrą stronę. Mogła stąd wyjść, zniknąć, uciec, w symboliczny sposób zostawić przeszłość zamkniętą w tym jednym miejscu i rozpocząć nowe życie.

- Madeleine, kochanie. - Wornich puścił kolejną chmurę dymu. -

Muszę cię o coś zapytać. Wiem, że wydałaś to przyjęcie przez wzgląd na pamięć ojca, ale jaki miałaś powód poza tym. Szukasz męża?

Tak już przywykła do tego pytania, że nawet nie myślała się obrazić. Wszyscy oczekiwali, że po śmierci ojca znajdzie męża, który będzie zawiadywał „Kurierem” albo sprzeda gazetę któremuś z magnatów prasowych. Madeleine podjęła inną decyzję. Zażądała od rady nadzorczej, by mianowała ją redaktorem naczelnym. Nikt nie pojmował, dlaczego tak postąpiła. Tylko Madeleine знаła odpowiedź. Chciała się sprawdzić. Robić coś. Coś ważnego. Coś użytecznego. Coś, co uczyni z niej człowieka.

- Nie kpij, Williamie - powiedziała, mrużąc oczy z powodu dymu. - Mężczyźni albo interesują się wyłącznie moimi pieniędzmi i pozycją, albo są mną śmiertelnie przerażeni.

- Wszyscy, kochanie?

- Wszyscy.

Gdy William skierował się w stronę grupki krytyków literackich, Madeleine poszła do łazienki, by wyjąć szkła kontaktowe. Dym sprawił, że musiała się ich pozbyć.

Nieważne. Nie musi wyraźnie widzieć nudnych twarzy gości, próbowała się pocieszać.

Spojrzała w lustro, myśląc o ostatnich zdaniach wymienionych z Williamem.

„Wszyscy, kochanie?”

„Wszyscy”.

W końcu przyznała, że był jeden wyjątek od tej reguły - Jack Riley.

Na myśl o nim poczuła niesmak.

Co prawda, właściwie go nie znała, ale była niemal pewna, że reprezentował sobą wszystko to, czego nie znosiła u mężczyzn. Był nieokrzesany, niedbały, nonszalancki i arogancki. A przy tym był najbardziej utalentowanym dziennikarzem w całym zespole. Nie powinna pozwalać, by ją złościł, ale zachowywał się tak, jakby doskonale wiedział, w jaki sposób zaleźć jej za skórę. Ten jego okropny zarost i kucyk, te bezczelne docinki, pewność siebie mówiąca, że wszystkich ma

w nosie. Sprawiał wrażenie człowieka czerpiącego z życia pełnymi garściami, którego drażnią ludzie ostrożni i nieśmiali. Właśnie tacy jak ona.

Jej dzisiejsza wizyta w dziale miejskim była katastrofą. Zaczęła bywać na dole, żeby lepiej poznać dziennikarzy, dać do zrozumienia, że chce być jedną z nich, jednak jej próby nie przyniosły efektu. Skąd w ogóle pomysł, że potrafi się z nimi zbratać? Za każdym razem zachowywała się jak zimna ryba. Nikomu chyba nie przychodziło do głowy, że może być nieśmiała. A już na pewno nie uprzykrzonemu panu Ri-leyowi, który nie wiedział nawet, co to słowo oznacza. Nie znał jej. Widział ją raptem raz przed dzisiejszym spotkaniem. Dlaczego więc zachowywał się tak, jakby chciał jej dokuczyć?

Dość rozmyślań, postanowiła. Wyjęła szkła kontaktowe, schowała je do torebki i spojrzała na swoje niewyraźne odbicie w lustrze.

Powinna była poprawić usta, zanim wyjęła szkła. Cóż, niech świat ogląda Madeleine Langston bez szminki, uznała w końcu i ruszyła do wyjścia.

Kiedy wyszła z łazienki, błysnął flesz aparatu fotograficznego jakiegoś reportera. Uśmiechnęła się automatycznie i udzieliła płynnych odpowiedzi na kilka pytań dotyczących spuścizny po ojcu. Nikt nie miał prawa dostrzec, jak niezręcznie się czuje. I jak bardzo jest samotna. Tak, samotna. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, a ona miała spędzić je z kotem. Żałosna perspektywa.

Znowu zaczęła błądzić myślami wokół Jacka Rileya. On się nie nudzi. Prawdopodobnie ubrany w jakiś skandalicznie obcisły strój ślizga się właśnie na sadzawce w Central Parku.

Nudził się.

Wpatrywał się bezmyślnie w papiery na biurku. Derek i Brad powinni postawić mu duże piwo. Zrobił za nich korektę ich materiałów. Nuda i banał. On sam zresztą od tygodni nie napisał nic ciekawego. Bo i nie było o czym. Co się stało z tym Manhattanem? Gdzie te wszystkie morderstwa i napady, kiedy ich człowiek naprawdę potrzebuje?

Zamknął biurko, wyłączył komputer i wyszedł z pokoju.

Na korytarzu spotkał sprzątaczkę.

- Znowu siedzisz po nocy, Jack? - zawołała za nim.

Uśmiechnął się i spojrzał na swoją wysłużoną bluzę.

- Nie bój się, Cora, nie zrobią ze mnie pracoholika.

- A co, nie zbierasz na nowy samochód?

- Samochód? Przy moich zarobkach? - Dawno już sprzedał swojego starego forda. Sześć lat temu przyjechał nim tutaj z Muleshoe w Teksasie. Ten wóz, dyplom dziennikarstwa i głowa pełna marzeń stanowiły cały jego majątek.

- Jeżdżę metrem, słonko.

- Uważaj na siebie, Jack.

Przypomniał sobie jej przestrożę, gdy pięć minut później skręcił w ulicę Lexington i zobaczył dwóch rosnących rabusiów napastujących jakiegoś krępego człowieczka.

Jesteś w Nowym Jorku, bracie. Nie szukaj guza, napomniał się w duchu, ale mimo to ruszył z odsieczą napadniętemu. Odezwał się w nim rodowity Teksaszczyk, nie znoszący przemocy i rozboju.

Biegł szybko ciemną, mroźną ulicą. Jeden z opryszków przyciskał ofiarę do muru, drugi przeszukiwał jej kieszenie.

Jack dobiegł do nich, chwycił jednego z rabusiów za kołnierz i powalił bez trudu w śnieżną breję. Chłopak, najwyraźniej oszołomiony narkotykami, nie stawiał żadnego oporu. W tej samej chwili Riley dostał cios w żołądek od drugiego. Jęknął bardziej ze złości niż z bólu i dzielił napastnika w szczękę. Mężczyzna złapał się za brodę i rzucił do ucieczki, podczas gdy jego niezbyt przytomny towarzysz usiłował podnieść się z ziemi. Jack czekał z zaciśniętymi pięściami. Chłopak wpatrywał się w niego przez chwilę mętным wzrokiem, po czym ruszył w ślad za kompanem.

Jack chciał ich gonić, ale powstrzymał go widok bladej, przerażonej twarzy napadniętego.

Pulchny człowieczek w drogim płaszczu, z wąsikami i starannie przyciętą bródką, ścisnął w dłoni laseczkę z mosiężną rączką.

- Nic panu nie jest? - Jack schylił się, podniósł elegancki kapelusz i

podał mężczyźnie.

- Nie. Zdenerwowałem się tylko. - Mężczyzna otarł czoło jedwabną chustką i odebrał kapelusz. - Dziękuję.

Jack uważnie przyjrzał się bladej jak kreda twarzy ofiary.

- Na pewno? Może wezwać lekarza? - upewnił się.

- Nie. Wrócę do sklepu i wezwę taksówkę. Wolę nie jechać teraz swoim samochodem. - Mężczyzna spojrział na Jacka i nagle oprzytomniał. - Widzi pan. Człowiek ratuje mi życie, a ja nawet się nie przedstawiłem. Harry Fodgother jestem - powiedział, wyciągając dłoń.

- John Patrick Riley. Może mi pan mówić Jack. - Wiedział już, z kim ma do czynienia. Kiedy zaczynał pracę w gazecie i przygotowywał materiały innych dziennikarzy do druku, często spotykał nazwisko Fod-gothersa w rubryce towarzyskiej. „Donald oczarował damy swoim smokiem od Harry'ego Fodgothersa...” Tego typu zdania pojawiały się niemal regularnie. - Jest pan krawcem, tak?

- Kreatorem mody męskiej, za pozwoleniem - poprawił go Harry, niby to urażony, i zaczął się śmiać. - To określenie pozwala mi liczyć podwójnie za moje kreacje.

Harry wszedł do zaułka, przy którym stali. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył ciężkie metalowe drzwi z napisem: „Dostawy”. Oczom Jacka ukazało obszerne pomieszczenie wypełnione belami materiałów, maszynami do szycia, manekinami i stołami dla krojczych. Na ścianach wisiały zdjęcia znanych osobistości w ubraniach Fodgothersa.

W pomieszczeniu dla klientów Jack poczuł pod stopami puszysty dywan. Utrzymane w ciemnej zieleni wnętrze, z obitymi skórą fotelami, mosiężnymi detalami i scenami myśliwskimi na ścianach, przypominało raczej angielski klub dla dżentelmenów niż firmę krawiecką. Nie było w nim też śladu szytych na zamówienie ubrań.

- Ładnie tu.

- To prawda. - Harry zapalił lampę z zielonym kloszem i podniósł słuchawkę telefonu. - Pod ladą jest lodówka. Poczęstuj się piwem, Jack. Jack otworzył dwie butelki, jedną dla siebie, drugą dla Harry'ego.

- Nie wezwiesz policji? - zapytał, gdy Fodgother zamówił już

taksówkę.

Harry pokręcił głową.

- To narkomani. Nawet się im nie przyjrzałem. Pojawiłeś się, zanim zdążyli zabrać mi cokolwiek, poza dumą. Przesłuchanie zajęłoby pół nocy i... - przerwał, widząc, że jego wybawiciel wyciąga coś z kieszeni.

- Cholera - powiedział Jack ze złością. - Myślałem, że je wyrzuciłem.

- Rzeczywiście wyrzucił zaproszenie, ale potem coś kazało mu wyciągnąć je na powrót z kosza. Być może pomyślał, że pokaże je matce, ciekawej jego znajomości w wielkim świecie. Nigdy nie mogła zrozumieć, że syn nie zaprzyjaźnił się jeszcze z Johnem F. Kennedym, juniorem.

Wyszedł zza kontuaru i podał Harry'emu piwo.

- Widzę, że pracujesz do późna - zauważył. - No, to zdrowie!

- Przez cały sezon. Mazał tow! Powodzenia! Jack uśmiechnął się i także podniósł butelkę.

- Nawzajem.

- Nie jesteś stąd.

- Z Teksasu, ale kiedy o tym nie myślę, pozbywam się akcentu.

Harry wziął do ręki zaproszenie, przeczytał i uderzył się w czoło.

- Zaproszenie od Madeleine Langston! Jakżeś je zdobył?

Jack upił solidny łyk piwa.

- Jest moją szefową. Straszna jędza.

- Ale piękna. Spotykała się kiedyś z pewnym rozmiarem 46.

Jack parsknął śmiechem na myśl o pustym garniturze towarzyszącym Madeleine i zaraz się zasępił, wyobraziwszy sobie u jej boku siebie samego.

Do licha. Chyba naprawdę zaczyna tracić rozum. Czy nie może myśleć o kim innym zamiast wciąż o niej?

- Zawróciła ci w głowie. - Harry wycelował w Jacka koniec swojej laseczki. - Wiem, też kiedyś byłem młody.

- To królowa śniegu. Cruella De Vil. Rzeźba z lodu byłaby cieplejsza - burknął Jack.

- Coś mi się widzi, że dzentelmen zbyt żywo protestuje.

- Nawet jej nie znam. Widziałem ją raz, może dwa. I wierz mi,

ziemia się nie zatrzęsała, gdy to się stało.

- „Dakota” - mruzczał Harry. - Tam jej ojciec wydawał doroczne przyjęcia. To pierwsze bez niego i jej ostatnie w „Dakocie”. Pomyśl, jak musi się czuć.

Jack o mało nie zakrztusił się piwem. Słowa Harry'ego sprawiły, że po raz pierwszy pomyślał o Madeleine jako o człowieku, który czuje i którego można zranić.

- E, tam. Pewnie szaleje teraz na parkiecie.

- Pewnie pije teraz za dużo, zbyt wiele się uśmiecha i marzy, żeby ktoś ją wybawił.

- Skąd wiesz?

Harry ponownie wycelował koniec laseczki w pierś Jacka.

- Wiem. Możesz mi wierzyć. Napuszony zarozumialec, pomyślał Jack.

Harry natomiast nie spuszczał z niego wzroku. Wpatrywał się tak intensywnie, iż Jack poczuł, że zaczynają piec go uszy.

- Domyślam się, że nie przypominam raczej twoich klientów?

- Lubię wyzwania. Może pod tymi łachmanami kryje się książkę? -

Harry obszedł go wokół, wywijając laseczką i mruzcąc coś pod nosem. - Jacku Rileyu - powiedział wreszcie. - Ubiorę cię tak, jak ci się nigdy nie śniło. Pozwolimy sobie na małe czary. Nie poznasz sam siebie.

- Nie lubię się stroić.

- Daj spokój. Nigdy nie marzyłeś, by wejść do sali pełnej ludzi i powalić ich na kolana?

- Chyba że byliby republikanami.

- Żartujesz sobie, kiedy masz okazję iść na bal i spotkać kobietę swego życia.

Jack mimo woli wybuchnął głośnym śmiechem. Harry znowu uniósł laseczkę.

- Pozwól, że zrobię coś dla ciebie. Uratowałeś mi życie, więc...

- Prawdę mówiąc, jestem raczej domatorem. Puszka piwa, telewizor... te rzeczy, Harry.

- Cuda się zdarzają, mój chłopcze.

Jack wsadził ręce do kieszeni swojej wytartej dżinsowej kurtki.

- Ona nawet nie jest w moim typie...

- A ja sądzę, że nie możesz znieść myśli o samotnej damie osaczonej przez ludzi, którzy, bez wyjątku, czegoś od niej chcą. - Harry spojrzał znacząco na zaproszenie i zdjął Jackowi okulary z nosa. - Kończ swoje piwo; kowboju. Zabieramy się do roboty.

Niech to wszyscy diabli! Nie ma nic gorszego niż atak wdzięczności męskiego krawca, pomyślał Jack z rozbawieniem i rezygnacją.

RRS

Rozdział 3

Madeleine przyłapała się na tym, że znowu zerka na zegar. Wpół do jedenastej. Minęły całe dwie minuty od chwili, gdy po raz ostatni sprawdzała, która jest godzina.

Uśmiechnęła się przez ten czas ze sto razy sztucznym uśmiechem, wypowiedziała sto grzecznościowych formułek i wypita sto łyków ciepłego już Dom Perignon. Szampan zaczynał powoli uderzać jej do głowy.

Kontury przedmiotów nieco się zacierały. Miała ochotę parsknąć śmiechem na widok znanej modelki ubranej w suknię z kapsli od puszek. Miała także ochotę umrzeć na widok Britta Beckwortha III, Sunącego ku niej przez salę niczym ożywiona lalka Ken, z kwadratową szczęką, starannie zaczesanymi włosami i doskonale pustą głową.

Aby znaleźć choć chwilę spokoju, skryła się w cieniu stojącej w holu kamiennej rzeźby Thorvaldsena.

Co ja takiego w sobie mam, że przyciągam wyłącznie zarozumiałych nudziarzy i zazdrosne o wszystko kobiety? - pytała siebie w duchu. Czy nie mogę, na Boga, po prostu z kimś się zaprzyjaźnić?

Nie znajdowała wśród gości nikogo odpowiedniego.

Derek i Brad patrzyli na nią wygłodniałym wzrokiem, w którym było pożądanie, ale ani krzty serdeczności.

Spojrzała tęsknie ku drzwiom i ruszyła w tamtą stronę, wiedzona jakimś odruchem, zajęta myślą o czerwonym włoskim samochodzie, noszącym nazwę nie do wymówienia. Cekał w garażu. Wystarczyło przekręcić kluczyk w stacyjce. Wyrzucała sobie teraz, że wypita za dużo szampana i wyjęła szkła kontaktowe. Miała ogromną ochotę wsiąść i pojechać. Szybko i daleko. Zatrzymać się dopiero gdzieś, gdzie nikt by jej nie znał. Miała ogromną ochotę zrobić coś szalonego, coś, co kompletnie nie leżało w jej naturze. Zapomnieć się, bodaj raz w życiu. Przestać myśleć i zdać się na kogoś, komu mogłaby zaufać, kto, być może, rzuciłby ją na kolana.

Chciałabym... chciałabym... - mówiła sobie, ale nie wiedziała tak naprawdę, czego rzeczywiście by chciała, poza tym, że miałyby to być rzecz absolutnie niezwykła.

Zamknęła oczy, jakby usiłowała odegnąć te dziwaczne pragnienia. Wiedziała, że takie rzeczy nie zdarzają się w życiu, a jednak...

Położyła dłoń na klamce. Zdziwiona poczuła, że ktoś otwiera drzwi od zewnątrz. Cofnęła się o krok i zaczęła przepowiadać sobie w myślach usprawiedliwienia: „Jak miło cię widzieć, kochanie, ale muszę już uciekać. Umówimy się na lunch...”

Drzwi się otworzyły. Usprawiedliwienia uwięzły Madeleine w gardle. Patrzyła oniemiała, pewna, że umarła i trafiła do nieba.

Miał około metra osiemdziesiąt pięć i bujną, ciemną czuprynę.

- Witaj, kochanie - rzucił lekko, wręczając jej zaproszenie. - Portier mnie już przepuścił dzięki temu bilecikowi. A ty?

- Nie, jeśli ma to zależeć ode mnie - szepnęła, zanim zdążyła pomyśleć, zapatrzona w refleksy świec igrające na jego nieskazitelnie ułożonych włosach, wykrochmalonym gorsie koszuli i idealnie skrojonym smokingu. W migotliwym świetle, w wieczorowym stroju bez skazy, bardziej przypominał rzeźbę niż istotę z krwi i kości.

Gładko wygolona twarz kogoś jej przypominała. Niby to znajoma, ale szeroki, leniwy uśmiech sprawiał, że była obca... Nie, na pewno nie widziała jej nigdy przedtem. Chyba że w marzeniach.

- Kochanie, jeśli będziemy tu tkwili bez ruchu, któreś z nas posłuży w końcu komuś za wieszak - przemówił.

- Oczywiście. Proszę dalej, panie... - Oprzytomniawszy nieco, odłożyła zaproszenie na stół.

- Patrick. John... Patrick. Proszę mówić mi John, panno...

- Madeleine - powiedziała szybko. Woląta, kiedy zwracał się do niej „kochanie”.

- Zatańcz ze mną, kochanie - zaproponował, kładąc kapelusz na stole.

Orkiestra grała tęskną melodię z lat czterdziestych. Poddając się rozkołysanym rytmom, Madeleine wyciągnęła dłoń do nieznajomego i

poszybowwała w przestworza.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, Jack Riley znalazł się nagle na środku parkietu z Madeleine Langston w ramionach. Nie dowierzał własnym zmysłom. Albo Madeleine podjęła grę, albo naprawdę go nie poznała. Czyżby czary Harry'ego Fodgothera aż tak go odmieniły?

Zerknąwszy kątem oka na swoje odbicie w lustrze, uznał, że to całkiem możliwe. Znikły okulary w rogowej oprawie. Wytworny smoking i uczesanie przeistoczyły go z brooklyńskiego oberwańca w wielkomiejskiego kowboja. Przesadny teksański akcent dopełniał złudzenia.

Niemal bezwiednie objął mocniej partnerkę i poczuł miły dreszcz. Lodowa księżniczka przy bliższym zetknięciu okazała się ciepła. Delikatna. Ludzka. Pozwalała, się dotknąć.

W szkole uczył się tańca i teraz, po raz pierwszy w życiu, mógł zrobić użytek z tych lekcji. Z radością poczuł dłoń Madeleine na swym ramieniu.

Wiedźma? Wykluczone. W tej chwili była słodka i urocza. I ten zapach. Jakby trzymał w ramionach bukiet lilii!

- Dobrze się bawisz? - zapytał, podziwiając włosy swej partnerki.

- Teraz tak. Od tygodni bałam się tego przyjęcia - odparła z uśmiechem. - To mieszkanie należało do mojego ojca. Umarł, ale pomimo to postanowiłam urządzić jego doroczne przyjęcie. Po raz ostatni.

- Musi ci go brakować - szepnął.

- Próbuję jakoś sobie radzić - westchnęła i raptem dodała z łobuzerskim błyskiem w oku: - To całkiem przyjemne podrywać mężczyzn.

Jack poczuł nieprzyjemny ucisk w gardle.

- Często to robisz? Parsknęła śmiechem.

- Ty jesteś pierwszy. Warto było poczekać. Zdumiała go bezceremonialność tej deklaracji. Odgadła, pomyślał. Musi wiedzieć. Bawi się z nim.

Nie był jednak pewien. Madeleine Langston nie potrafiła kłamać. Widział, jak nieporadnie zapewniała, że chce, aby był na przyjęciu.

Widział, jak wtedy zeszywniała, jak się zaczerwieniła po korzonki włosów. Była fatalnym kłamcą, więc i teraz poznałby, gdyby chciała go zwieść.

Poprowadził ją w tańcu na skraj parkietu i tu się zatrzymał. Oparł rękę o ścianę i spojrzał w twarz Madeleine. Boże! Jaka ona piękna! Wenus Botticellego wyłaniająca się z fal, z oczami rozświetlonymi uwielbieniem.

- Madeleine...

- Lubię sposób, w jaki wymawiasz moje imię. - Musnęła jego jedwabną muszkę, a Jacka oblała fala gorąca. To chyba jakieś szaleństwo.

- Czy my się czasem nie znamy? - zapytał ciekaw, jak zareaguje.

Uniosła palec i dotknęła jego policzka niczym ciekawe wszystkiego dziecko. Gładko wygolonego policzka, pachnącego jakąś zawrotnie drogą wodą toaletową Harry'ego Fodgothera.

- Niemożliwe. Gdybym cię już kiedyś spotkała, na pewno bym zapamiętała.

A więc nie poznała go, dała się nabrać. Wycofać się? Za późno. Zabije go, kiedy odkryje prawdę, pomyślał z przerażeniem.

- Madeleine, nie rób tego. Nie udawaj, że nie wiesz...

- Och, nie! Idą tutaj - jęknęła, zerkając przez jego ramię.

Jack obejrzał się i zobaczył zbliżającego się ku nim Williama Wornicha w towarzystwie jakichś typów o pewnych sobie minach. W jednej chwili zrozumiał, że Madeleine żyje niczym owad pod szkłem powiększającym, nieustannie wystawiona na widok publiczny. Wyobraził sobie nagłówek w jutrzejszej prasie: „Dziedziczka magnata prasowego tańczy z tajemniczym kowbojem”.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Chodź. Wymkniemy się stąd.

Oślepiła go lampa błyskowa. Usłyszał szum włączanej kamery. Gdzieś w drugim końcu sali dojrzał Brada i Dereka. Nie zwlekając, pociągnął Madeleine ku wyjściu i do windy. Przez okropnie długą chwilę czekał, aż zamkną się drzwi. Widział jeszcze zbliżającą się ku nim grupkę ciekawskich, w której byli Brad i Derek. Nasunął głębiej kapelusz na

czoło i nacisnął przycisk. Drzwi wreszcie zamknęły się z cichym sykiem.

Madeleine oparła się o ścianę windy. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Dziękuję.
- Do usług, madame.
- Zapomniałam zabrać płaszcz.
- Chcesz, żebym po niego wrócił?
- Wykluczone.

Na wpół kpiącym rycerskim gestem zdjął smoking i narzucił jej na ramiona. Kiedy podziękowała mu uśmiechem, poczuł, że czary zaczynają działać.

- Dokąd jedziemy? - zapytała. Spojrzał na tablicę z przyciskami.
- Chyba na dół, do garaży - odparł głupawo, wzbudzając jej śmiech.
- A potem?
- A dokąd byś chciała?
- Masz samochód? - zapytała, wysiadając z windy.
- Tak. - Nie posiadający się z wdzięczności Harry Fodgothor pożyczył

mu swoje auto. Mimo protestów Jacka kazał mu wziąć kluczyki i kartę do garażu, gdzie miejsce kosztowało więcej niż komorne za mieszkanie w Brooklynie. Wóz okazał się istnym cudem z chłopięcych marzeń: ogromny, czarny, wyposażony we wszelkie możliwe udogodnienia.

- A ty? - zapytał.

Spojrzała na swoją limuzynę, przygryzając wargę.

- Wypiłam za dużo szampana. Gdzie się zatrzymałam?
- Zatrzymałam?... - Jack poczuł, że oblewa go zimny pot. Nie

oczekiwał, że sprawy zajdą tak daleko. - Eee... u przyjaciół w White Plains.

- Aha!

Kiedy sadowiła się na siedzeniu, omiół pełnym podziwu spojrzeniem jej zgrabne, obciągnięte jedwabnymi pończochami nogi. Był znany z tego, że oglądał się za kobietami. Kochał je, uwielbiał, doceniał piękno kobiecego ciała, jego delikatność, płynne linie, zapach.

Na twarzy Madeleine odbiło się rozczarowanie tak wyraźne, że

niewiele myśląc, rzucił:

- Możemy pojechać do jakiegoś klubu... Przyglądała mu się przez chwilę.
- Nie. Do domu... Zawieź mnie do domu - szepnęła wreszcie cicho, kładąc mu dłoń na rękawie.

RRS

Rozdział 4

Drżącą dłonią nacisnęła przycisk windy w kamienicy przy Park Avenue, ale czyż nie postanowiła, że zrobi coś szalonego? Kiedy ostatni raz zaprosiła mężczyznę do domu, wizyta skończyła się absolutną katastrofą. Jej gość przez pierwszą godzinę pilnie oglądał obrazy Moneta, mobile Caldera i instalacje Baccarata. Przez drugą usiłował zaciągnąć ją do sypialni. Na początku trzeciej nie mógł zrozumieć, dlaczego gospodyni dostała nagłej migreny i domaga się, by już wyszedł.

Zerknęła na swojego towarzysza. Zdawał się odprężony. Splótł ręce i spoglądał na nią przyjaźnie, ciepło. Tak bardzo chciała wierzyć w jego serdeczność i bezinteresowność.

Bądź inny, proszę, błagała w myślach.

Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie. Pewniejszą już ręką wyjęła klucze z torebki i otworzyła drzwi.

Kilka lamp w holu i salonie dawało dyskretne światło. John Patrick zdjął kapelusz i położył na stojaku na parasole. Przez moment podziwiał scenę ogrodową Moneta wiszącą nad stolikiem w holu.

Madeleine już oczekiwała jakiejś uwagi na temat wartości rynkowej malarstwa impresjonistycznego, kiedy jej gość stwierdził po prostu:

- Ładny.

Odetchnęła z ulgą.

- Czego się napijesz?

- Może piwa? - odparł z wahaniem.

- Udało ci się poprosić o jedyną rzecz, której akurat nie mam - powiedziała ze śmiechem i podeszła do barku, na którym stały kryształowe karafki z Remy Martin, Glenmorangie i Frangelico.

- Nie szkodzi. Może masz szampana? Marny szampan smakuje, jak piwo.

- Nie miewam marnego szampana.

- To może być kawa - powiedział, wskazując na ekspres.

Nie mógł gorzej trafić.

- Robię najpodlejszą kawę na świecie.

- Ja za to robię najlepszą na świecie kawę po irlandzku. Niebo w gębie - zapewnił, rozluźniając muszkę i odpinając górne guziki koszuli. - Madame, mistrz przystępuje do pracy. - Zgrabnie umieścił filtr w lejku ekspresu i nasypał kawy. - Sztuka polega na tym, by dać podwójną porcję kawy i podwójną porcję whisky.

- Żeby się wstawić i nie poczuć smaku - roześmiała się. Otworzyła butelkę perriera i nalała do zbiorniczka ekspresu. Kiedy kawa się parzyła, przyniosła z kuchni śmietankę. Zatrzymała się w progu, patrząc, jak John otwiera butelkę whisky. Jej żałośnie sterylne i puste mieszkanie raptem zaczęło promieniować przytulnym ciepłem.

Z szerokim uśmiechem odebrał od niej torebkę ze śmietanką.

- Mieszkasz sama?

- Z Williamem Blakiem.

Miała wrażenie, że dojrzała w jego oczach błysk zazdrości, ale bez szkieł kontaktowych nie miała co do tego pewności.

- Blake to mój kot - dodała ze śmiechem. - Czasem odwiedza mnie matka, ale od śmierci ojca woli spędzać czas w długich podróżach do ciepłych krajów.

Wpatrywał się w nią przez moment, po czym uniósł dłoń. Pomyślała, że chce jej dotknąć. Pragnęła tego, lecz jego dłoń po chwili opadła i znów zajął się przygotowywaniem kawy.

Przeszli do salonu. Kiedy chciała zapalić światło, powstrzymał ją łagodnie:

- Lubię półmrok. Wtedy lepiej widać światła miasta.

Rzeczywiście, rozciągający się za oknem widok Nowego Jorku ma w sobie coś magicznego, pomyślała. Zwłaszcza dla kogoś, kto w nim nie mieszka

- Zapomniałam, że jesteś przecież turystą. Usiedli na szerokiej kanapie przy oknie.

- Pozwolisz? - zapytała, wskazując na swoje wieczorowe pantofle.

- Oczywiście, przecież jesteś u siebie. Zrzuciła buty i odetchnęła z

ulgą.

- Pewnie przetańczyłaś cały wieczór?
- Uhm.

Zanim zdążyła zaprotestować, położył sobie jej stopy na kolanach i zaczął masować. Pisnęła zaskoczona. Jego dłoń znieruchomiła.

- Zbyt śmiało sobie poczynam?
- Tak.
- Mam przestać?
- Nie.

Z uśmiechem poddała się masażowi, rozkoszując się ciepłem promieniującym z jego dłoni i ogarniającym powoli całe jej ciało. W tym geście było coś wzruszającego, coś, do czego nie nawykła u mężczyzn.

Zastanawiała się, jak daleko posuną się obydwójce tej nocy i ile czasu trzeba, by mogła stwierdzić, czy John jest przyjacielem czy łowcą majątku, kochankiem czy kłamcą.

- Och, nie - szepnął, nachylając się do jej ucha. Poczwała miły dreszcz.
- Co, nie? - zapytała.
- Nie zaczynaj myśleć, Madeleine. Wszystko zepsujesz.
- Co zepsuję?
- To - powiedział, ujmując jej twarz w dłonie i zbliżając usta do jej

warg.

Zdziwiła ją delikatność tej pieśczoły.

Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który...

Nie myśl, napomniała się sama. John miał rację. Zbyt często trzeźwy osąd rzeczywistości niekorzystnie wpływał na jej poczynania.

Przysunęła się bliżej, upojona pocałunkiem, zaczarowana, rozgrzana wewnętrznym płomieniem, ale John jakby się wycofał.

Dlaczego? Przecież mu się nie narzucam, pomyślała zdziwiona.

Nagle znalazła wyjaśnienie. Odsunęła się w kąt kanapy i zmrużyła złowieszczo oczy.

- Ty oszuście!

Jack poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy.

Koniec komedii, stwierdził z rozpaczą. Musiała wiedzieć od samego

początku, ale skorzystała z okazji, by wymknąć się z nudnego przyjęcia. Teraz, kiedy zaczęło być miło, obudziła się w niej na powrót lodowa księżniczka.

- Madeleine, wytłumaczę ci... ja...

- Chętnie wysłucham, mój panie. - Sięgnęła po filiżankę, upiła łyk kawy i skrzywiła się, jakby połknęła ogień.

- Posłuchaj, nie chciałem, żeby sprawy zaszły aż tak daleko, ale ty... to znaczy ja...

- Jesteś żonaty!

- Skądże! - zawołał z ulgą zmieszaną z rozbawieniem. - Tak pomyślałaś? Przysięgam na Boga, że nie, Maddy.

- To może... jesteś chory.

- Też nie. Naprawdę.

- Uciekasz? - zgadywała dalej.

- Tak, uciekłem z Teksasu, żeby odnaleźć siebie - odparł zdumiony, że raz jeszcze o włos uniknął zdemaskowania.

- I odnalazłeś? - Wpatrywała się w niego bacznie.

- Może. Ale przede wszystkim znalazłem ciebie. To już coś.

Rozejrzał się po wytwornym wnętrzu. Czy Madeleine zdawała sobie sprawę, że mieszka w mieszkaniu jakby żywcem wyjętym ze stron Przeglądu Architektonicznego? Doskonale zaprojektowanym, ale smutnym. Martwym. Jak pozbawiona ozdób choinka, która stała w rogu salonu.

Madeleine powiodła oczami za jego wzrokiem.

- Nie lubię świąt - wyjaśniła z ociąganiem.

- Ja lubię. Gdzie lampki i bombki?

Ledwie wypowiedział te słowa, pożałował pytania. Co za idiota z niego! Był już tak blisko uwiedzenia Madeleine Langston, a teraz proponuje, że ubierze jej drzewko. Zmarnował taką okazję!

Upiła kolejny łyk kawy i spojrzała na niego tymi swoimi przepastnymi, błękitnymi oczami.

- Zbiera mi się na płacz - powiedziała cicho.

- Dlaczego?

- Póki ojciec żył, zawsze bardzo uroczyście obchodziliśmy święta.
- Rozumiem. Jeśli nie chcesz... - zaczął, ujmując jej dłonie.
- Nie powiedziałam nic takiego. Ale jeśli ubierzemy choinkę, gotowam się popłakać. Chciałam się upewnić, czy nie będziesz miał mi tego za złe.

- Za złe? - Ta kobieta z każdą minutą zaskakiwała go coraz bardziej.
- Wierz mi, że spotykały mnie już w życiu gorsze rzeczy niż lekko wstawiona, piękna dziewczyna, płacząca w moich ramionach. Przechyliła lekko głowę.

- Masz wspaniałe, szerokie ramiona. Może jednak trochę sobie popłaczę.

W końcu oczywiście doszło do tego, czego obydwójce oczekiwali. Pośród śmiechów rozplątali lampki i umieścili je na gałęziach choinki. Kiedy Jack włączył wtyczkę do kontaktu, świerk rozjarzył się kolorowymi światełkami. Madeleine w milczeniu wpatrywała się w drzewko. Refleksy światełek połyskiwały na dżetach jej sukni. Stała nieruchomo, dziwnie zasmucona, ze łzami w oczach i zwichrzonymi, jak dziecko, włosami.

- Maddy? - zagadnął Jack cicho, jakby na odgłos głośniejszego dźwięku miała się rozprysnąć w kryształowy pył.

Płakała bezgłośnie, wielkie łzy toczyły się po jej policzkach.

- Twoje ramiona są za daleko - szepnęła wreszcie, a on w przyptywie nagłej czułości wziął ją w objęcia i przytulił do piersi. Gors firmowej koszuli Harry'ego Fodgothera nawilgł od łez.

- Ciiii... Już dobrze - uspokajał ją.

- Nic mi nie jest, tylko bardzo brak mi ojca. Czasami mam wrażenie, że nie będę w stanie zaczerpnąć następnego oddechu, a potem jednak wciągam powietrze - raz, drugi, trzeci... Życie znowu zaczyna toczyć się dalej i wiem, że jednak sobie poradzę.

Jack pocałował ją w czoło.

Ostatnia rzecz, której mógł oczekiwać, to to, że Madeleine Langston okaże się czuła, wrażliwa i mądra. Jedna z dziewczynek w schronisku, w którym Jack pracował jako wolontariusz, straciła niedawno matkę.

Opowie jej, co Madeleine powiedziała o oddychaniu. Może pomoże to małej, postanowił pełen nadziei.

Podał Madeleine chusteczkę.

- Chyba nie powinnam już pić tej kawy po irlandzku - powiedziała drżącym jeszcze głosem.

Jack przyniósł z barku dwie butelki wody mineralnej. W pokoju tymczasem raczył pojawić się Blake-kot wyniosły i lśniący. Jack i Madeleine stuknęli się butelkami, spoglądając z dumą na nieporadnie przystrojone drzewko i z rozbawieniem obserwując kocie błazeństwo.

Madeleine oparła się na ramieniu Jacka, a on przytulił ją, do siebie. Objęła go za szyję.

- Dziękuję. Dziękuję, że jesteś tu dzisiaj ze mną - szepnęła.

Zwariowała? Ona dziękuje mu, że jest z nią!

- To prawdziwa tortura trzymać w ramionach piękną kobietę - powiedział ze śmiechem.

Zawtórowała mu, a potem ich usta złączyły się w pocałunku. Jack czuł, jak dłonie Madeleine zsuwają się na gors jego koszuli, jak palce rozpinają guziki.

Gdzieś w oddali zegar zaczął bić północ, przypominając Jackowi o oszustwie. Miał wrażenie, że jak w bajce za chwilę smoking zamieni się w bawełnianą bluzę, a limuzyna Harry'ego w dynię, ale Madeleine nie pozwoliła mu zbyt długo się nad tym zastanawiać.

Poczuł jej dłonie na skórze pod rozpiętą koszulą.

Powiedz jej, podpowiadał mu zdrowy rozsądek. Dalejże, powiedz jej prawdę!

- Maddy?

- Uhm? - mruknęła, nie przestając go całować, a on zapomniał, co miał do powiedzenia. - Widocznie tak miało być - szepnęła.

- Co masz na myśli?

- Zanim się pojawiłeś, powiedziałam sobie, że muszę zrobić coś szalonego. Coś kompletnie niepojętego, niepodobnego do mnie. I nagle ty wchodzisz i... -Ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą przez tonący w półmroku hol.

Sypialnia wyglądała jak zły sen projektanta wewnątrz. Wielkie łożo z baldachimem powinno być opatrzone plaketką: „Tu spał Napoleon”.

Madeleine wyciągnęła mu koszulę ze spodni i przesunęła dłońmi po nagiej skórze.

Powiedz jej, prędeży!

Ale właściwie co ma powiedzieć, zastanawiał się, wyjmując grzebień z jej włosów. Że uwodzi właśnie Jacka Rileyę? Że dopiero co wyznała swoje sekrety facetowi, którego nie znosi? Że obdartus, który piekli się w pracy, ma właśnie zamiar unieść ją do nieba?

Jeszcze nie jest za późno. Powiedz jej...

- Maddy? - wydusił wreszcie.
- Uhm? - powtórzyła, muskając wargami jego szyję.
- Dlaczego to robisz?

Jej jasne włosy rozsypały się na ramionach. Nigdy dotąd nie widział ich rozpuszczonych.

- Bo tego potrzebuję. Nigdy nie czułeś, że umrzesz, jeśli nie dotkniesz innej ludzkiej istoty?

Wielkie nieba! Umarłaby chyba, gdyby dowiedziała się, że zwierza się właśnie Jackowi Rileyowi, przeszło mu przez myśl.

- Czasami mi się to zdarza - przyznał i jego dłonie same rozpięły zamek sukni Madeleine.

Odkrycie, którego dokonał, kazało mu zapomnieć o resztkach przyzwoitości. Wcześniej podziwiane pończochy ze szwem podtrzymywał czarny, jedwabny pas. Pas do pończoch. Szalał na punkcie pasów do pończoch. Raz jeszcze podjął wysiłek powiedzenia jej prawdy, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- To szaleństwo - szepnęła Madeleine. - Nie wiem nawet, kim jesteś i skąd przychodzisz, ale chyba się w tobie zakochałam.

Słyszając to wyznanie, Jack Riley, dziennikarz działu miejskiego „Kuriera”, urodzony w Muleshoe w Teksasie, zrozumiał, że dwie rzeczy wie na pewno. Po pierwsze - będzie to najbardziej niezwykła noc w jego życiu. Po drugie - nigdy się nie powtórzy.

Rozdział 5

Do licha, Madeleine, rzeczywiście za dużo wypitaś - mruknął, zrzucając koszulę na podłogę.

W nagłym przypiływie odwagi oswobodziła się z sukni.

- Kiedy trochę wypiję, staję się szczerą. Nigdy żadnemu mężczyźnie nie powiedziałabym tego, co powiedziałam tobie. Ufam ci. Możesz nazwać to instynktem.

Schylił się, onieśmielony, i zaczął ściągać kowbojskie buty. Z rozbawieniem zauważyła, że nosi białe skarpety. Kiedy zdjął spodnie, jej rozbawienie zamieniło się w czyste, nieposkromione pożądanie, Podziwiała go, zachwycona, w wątłym świetle lampki nocnej i patrzyłaby tak pewnie długo, gdyby nie odezwał się wreszcie.

- Pani podgląda, madame.

Przełknęła ślinę, chcąc pozbyć się nagłej suchości w gardle.

- Ostatni raz takie ciało widziałam w muzeum we Włoszech - przyznała.

Przyciągnął ją ze śmiechem do siebie. Czowała jego mocne mięśnie, jedwabisty dotyk skóry, zapach drogiej wody kolońskiej i coś niepowtarzalnego, tysiącokrotnie miłszego niż kosmetyki.

- Nie jesteś ani odrobinę gorsza - odwzajemnił się i umilkł, co było znacznie wymowniejszym komplementem niż słowa.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak hołubiona i tak bezpieczna.

Szczególnie interesował go pas do pończoch. Kupiła go wiedzioną kaprysem, bo pasował do stylowej sukni z lat czterdziestych, nigdy jednak nie pomyślałaby, że ktoś będzie ją w nim oglądał.

Jack nie tylko patrzył i oglądał - on chłonał ją oczami, skupiony tylko i wyłącznie na niej, na jej potrzebach, pragnieniach, odczuciach. Jego zachwyty oszałamiał, uderzał do głowy.

Potrafiłabym pokochać tego człowieka, pomyślała. Nie dbał o jej pozycję i majątek, tylko o to, jak dać jej rozkosz, ubiegając najszybszymi życzeniami.

Przyklęknął przed nią niczym współczesny książę z bajki, zdjął jej pończochy, a potem położył ją na łóżku, całował i pieścił. Śniła o takiej chwili, ale nigdy nie wierzyła, że kiedykolwiek przeżyje coś podobnego na jawie.

Przytuliła się do niego, jej dłonie zaczęły błądzić po jego ciele. Tak mało o nim wiedziała, ale to dodawało tylko tajemniczego uroku tej nocy, wzajemnym pieszczotom, najcudowniejszemu tańcowi złączonych wspólnym rytmem ciał. Oszołomiona, zachwycona, poddawała się nie znanym dotąd odczuciom, póki nie zamarli obydwójce w ostatnim dreszczu uniesienia.

Potem leżeli bez ruchu, spleceni ze sobą, wsłuchani w bicie swoich serc, zdumieni nagłością i intensywnością tego, co właśnie się stało. Po długiej chwili Madeleine poruszyła się i oparła brodę na jego piersi.

- Chciałabym, żebyś o czymś wiedział. Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.
- O czym, kochanie?
- Nie robię tego często - powiedziała, rada, że w ciemnościach nie widać, jak oblewa się rumieńcem.
- Czego nie robisz? - W jego głosie słychać było rozbawienie.
- No... wszystkiego - nie potrafiła znaleźć właściwych słów, a przy tym po raz pierwszy w życiu była tak rozradowana, gotowa wręcz śmiać się w głos. - Nigdy nie robiłam tego na pierwszej randce;
- Kochanie, my nie mieliśmy nawet pierwszej randki. Poderwałaś mnie na przyjęciu, pamiętasz?
- Bezwstydnica ze mnie. Chciałam tylko powiedzieć, że zwykle nie idę od razu z facetem do łóżka.
- Dlaczego dzisiaj było inaczej? - zapytał rozbawiony.
- Dzięki tobie. Sprawiliś, że... - przerwała, przesuwając dłoń po jego ciele.
- Ze?... - W jego zdławionym głosie nie było już śladu rozbawienia.
- Że to coś więcej niż ta jedna noc. Dużo więcej - szepnęła.

Mruknął coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, obrócił się i wszedł w nią gwałtownie. Tym razem kochali się długo, aż wreszcie wyczerpani

opadli na poduszki.

Czasami marzenia się spełniają, pomyślała jeszcze Madeleine z niedowierzaniem i zapadła w sen.

Pierwszy dzwonek telefonu wyrwał Jacka z głębokiego, spokojnego snu, jakiego nie zaznał od miesiąca. Drugi dzwonek uświadomił mu, gdzie się znajduje.

Był w sypialni Madeleine Langston. Z panną Maddy w ramionach, jego szefową. Cholera jasna, przeklął w duchu.

Między drugim a trzecim dzwonkiem wysunął się z łóżka. Madeleine mruknęła coś przez sen i nakryła głowę poduszką.

Świetnie, pomyślał, wkładając spodnie. Śpij, maleńka, pozwól zniknąć kochankowi z marzeń, błagał w duchu.

Przy czwartym dzwonku, już ubrany, czołgał się po dywanie w poszukiwaniu kowbojskiego buta.

- Słucham, mówi Madeleine...

Zamarł na dźwięk jej głosu, dopiero po chwili uświadomił sobie, że to automatyczna sekretarka.

- Cześć, Maddy - po drugiej stronie telefonicznego kabla odezwał się William Wornich. - Umieram z ciekawości. Kto to był, na Boga? John Wayne?

Madeleine mruknęła coś spod poduszki. Do licha, zaraz się obudzi, pomyślał Jack z przerażeniem.

Stał teraz przed rozpaczliwym wyborem: albo brać nogi za pas i zostawić ją ze wspomnieniami tajemniczego nieznajomego, albo zdobyć się na odwagę, wyznać prawdę i ponieść konsekwencje. W ułamku sekundy rozstrzygnął, czy ma się okazać bohaterem, czy tchórzem. Pozostawiając zawieruszony gdzieś na podłodze sypialni but, John Patrick Riley umknął z mieszkania Madeleine. I z jej bajki.

Rozdział 6

To ma być Święty Mikołaj? - zapytał Jack, mierząc Dereka od stóp do głów. Znajdowali się w Centrum Młodzieżowym Santiago w Brooklynie. Na boisku kilku chłopców grało w koszykówkę, z sali sąsiadującej z ciasnym biurem Jacka dochodził cichy szmer rozmów po hiszpańsku - trwały właśnie zajęcia dla dziewcząt.

Derek obciągnął wygryziony przez mole czerwony kaftan.

- Nie sądziłem, że oczekujesz cudu. Pojęcia nie mam, dlaczego dałem ci się namówić na tę szopkę - oznajmił z urazą w głosie.

- Może masz wrodzone poczucie przyzwoitości. Może uznałeś, że trzeba pomagać potrzebującym dzieciakom. Żeby nie wspomnieć już o biletach na Knicksów, które ode mnie kiedyś wyłudziłeś.

- A może dlatego, że zmusiłeś mnie pogrózkami. Dlaczego właściwie marnujesz tu czas?

Z powodu Annie, bolesnego wspomnienia sprzed sześciu lat, odparł w duchu Jack. Kochał ją z całego serca, ale to nie wystarczyło, by uratować tę dziewczynę. W pewnym sensie brooklyński ośrodek był hołdem dla Annie, jego pierwszej miłości. Każdy małolat, który znajdował tu pomoc, był częściowym odkupieniem za jej bezsensowną śmierć.

- Powiedz - ponaglił go Derek. Jack potarł brodę.

- Straciłem kiedyś przyjaciółkę... narkotyki, wojny gangów...

- Przykro mi, stary...

- To było dawno temu.

Derek zdjął mikołajową czapkę z pomponem.

- Nikogo nie przekonam w tym przebraniu.

- Jasne, że przekonasz. Ludzie widzą to, co chcą widzieć - zapewnił go Jack z perwersyjnym nieco uporem.

Derek zaczął bawić się plecionką na doniczkę, robótką Marii.

Problemy tej akurat dziewczyny należały do najtrudniejszych chyba w ośrodku.

- Jakoś inaczej wyglądasz, Riley. Coś ty zrobił? - pytanie Dereka

wyrwało Jacka z rozmyślań o Marii.

- Co masz na myśli? - Nasunął głębiej na czoło swoją baseballówkę, jakby chciał ukryć się pod jej sfatygowanym daszkiem.

- Nie wiem, coś... - Derek wpatrywał się w niego uważnie. - Ogoliłeś się! Cud prawdziwy!

- Spóźnione poczucie przyzwoitości - odburknął Jack.

- Uhm. Jak tam wczorajszy wieczór? Udany? Jack poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

Do diabła, on wie o wszystkim, przeszło mu przez myśl. Musi wiedzieć.

- Mówże - ponaglił go Derek, zdejmując nieszczęsny kaftan Mikołaja.

- Niby o czym? - wykrztusił Jack.

- No, jaka była. Dzika? Okrutna? Słodka?

- Odczep się, człowieku.

- Zawsze miałem ochotę przespać się z dziewczyną z „miejskich dzikusów” - zwierzył się Derek ze smutkiem w głosie.

Z piersi Jacka dobyło się westchnienie ulgi.

- Musisz spróbować.

- Pewnie tak. - Derek wzruszył ramionami i począł oglądać dziurawy kaftan. - Beznadziejny. Ten twój Mikołaj będzie wyglądał jak bezdomny oberwaniec z Tompkins Square Park, a nie przybysz z Laponii.

- Marudzisz, jakbyś miał ciężkiego kaca - sarknął Jack.

- Ja, kaca? Po przyjęciu u Madeleine Langston? Na takich imprezach człowiek nie może się porządnie upić, żeby natychmiast nie narazić się na plotki. Jak wczoraj.

Jack spojrzał na niego bacznie.

- Co masz na myśli?

- Śmieszna historia. - Derek zwinął strój Mikołaja i schował go do sfatygowanej plastikowej torby. -Ktoś wczoraj przedobrzył. Nie zgadłbyś, kto taki.

- Kto? - zapytał Jack, udając, że go to niewiele obchodzi.

- Madeleine Langston. Ludzie się nie zorientowali, ale ja i Brad

zauważyliśmy, że ma w czubie. Nie czytałeś jeszcze rubryki Wornicha?

- Nigdy nie czytam Wornicha. Po diabła? - Jack przypomniał sobie kpiący, pełen insynuacji głos płynący z automatycznej sekretarki Madeleine.

Derek chwycił leżącą na biurku gazetę i otworzył na stronie z rubryką towarzyską.

- Zobacz - powiedział, podsuwając Jackowi pod nos tekst opatrzony fotografią.

Jack wpatrywał się w zadrukowaną płachtę, czując, jak zaczyna płonąć mu twarz. Oto Madeleine Langston i jej księżę z bajki, upozowani niczym do zdjęcia na okładkę romansu. Ona, zapatrzona w niego, demonstruje doskonały profil Grace Kelly oświetlony światłem świec. On, z twarzą skrytą w cieniu, nachylony szepcze jej coś do ucha. Nieskazitelnie skrojony smoking nie pozostawia wątpliwości co do zamożności i klasy jego posiadacza.

A jednak - mimo całej tej sztuczności - z ujęcia biło dziwne ciepło. Ona ufnie wsparta na ramieniu partnera, on zajęty wyłącznie partnerką... Obydwoje sprawiali wrażenie całkowicie pochłoniętych sobą. Zdjęcie jakimś sposobem mówiło o skrytych pragnieniach, wahaniami, o miłości, która nimi zawładnęła.

- Fotka warta tysiąca słów, co? - zagadnął Derek.

- Uhm. - Jack lekceważąco rzucił gazetę na biurko i wskazał na plastikową torbę. - Znam kogoś, kto połata ten kaftan. Najlepszy krawiec na Manhattanie. Kreator mody męskiej, mówiąc ściśle. Będziesz wyglądał jak panisko.

- Jasne, Riley.

- Mówię serio. Ten człowiek to czarodziej - powiedział Jack smętnie, przypominając sobie zdjęcie w „Kurierze”.

Zanim wyszli, Jack oprowadził Dereka po ośrodku, choć nie było tu nic specjalnego do pokazywania. Ot, rozpadająca się, ogromna kamienica czynszowa, pięć lat temu zamieniona w Centrum Santiago. Pięć lat wzlotów i upadków. Jack przypuszczał, że zawsze już tak będzie. Kiedy udawało się im pomóc jednemu dziecku, drugie wpadało w

tarapaty.

- Za mało czasu im poświęcam - powiedział, otwierając przed Derekiem drzwi na boisko do koszykówki.

- Nie mogę cię rozgryźć, Riley - stwierdził Derek, wychodząc na zewnątrz.

Jack przejął piłkę od chłopca imieniem Andre, podał do Dereka, ten zrobił zgrabny wyskok i umieścił ją w koszu. Przez kilka minut grali wśród wybuchów śmiechu, wreszcie zostawili chłopców samych sobie. Jack już z poważną miną ruszył w stronę gabinetu dyrektorki.

Zastał tu samotnie siedzącą dziewczynę. Ze wzrokiem wbitym w ścianę miała w dłoni chusteczkę. Na jej lewym policzku widniał wielki siniak, dolną wargę miała spuchniętą. Była w zaawansowanej ciąży i wydawało się, że w każdej chwili może zacząć rodzić.

- Ktoś się już tobą zajął? - zapytał Jack, odchrząknąwszy.

Dziewczyna powoli odwróciła głowę.

- Dzień dobry, panie Riley.

Serce mu się ścisnęło. Nie widział tych wielkich, brązowych oczu od miesięcy. Przyklęknął przy niej i ujął jej dłonie.

- Maria. Gdzie się podziewałaś, dziewczyno?

- Źle zrobiłam, że przestałam tu przychodzić. Mam kłopoty. - Wargi jej drżały, gdy to mówiła.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Damy sobie radę. Powiedz, co się stało.

- Nic już nie będzie dobrze - powiedziała dramatycznym tonem. - Jose mówił, że znajdzie stałą pracę, wynajmie mieszkanie... Wierzyłam mu, a on zniknął.

Jack znał chłopaka, lubił go nawet. Jose był dobrym uczniem, nie bał się pracy, miał więcej zdrowego rozsądku niż inni. Ostatniego lata skończył szkołę.

- A twoja rodzina? - zapytał, dotykając lekko siniaka na policzku.

Dojrzał w oczach dziewczyny błysk gniewu.

- Nie wrócę do nich. To już nie jest mój dom - oznajmiła stanowczo.

Jack nie wypytywał o nic. Wiedział, że matka Marii wyszła powtórnie

za męż.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś Jose?

Na dźwięk jego imienia w oczach Marii pojawiły się łzy.

- Kilka tygodni temu.

- Wiesz co, idź do kuchni, zrób sobie herbatę, a ja spróbuję go odnaleźć.

Wstała ciężko i poszła ku drzwiom, pociągając nosem.

- Dziękuję, panie Riley.

- Wszystko będzie dobrze - obiecał i poczuł dziwny ucisk w gardle.

To niemal jeszcze dziecko miało urodzić dziecko.

Dziecko. Krył się z tym, co prawda, ale miał absolutnego fioła na punkcie dzieci.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył, chociaż Maria już dawno znikła.

- Trzeba mieć nadzieję - odezwał się jakiś kobiecy głos za jego plecami.

W progu gabinetu stała siostra Doyle, dyrektorka centrum. Mocno zbudowana, ubrana w dzinsy i bluzę roboczą, z okularami zsuniętymi na czubek nosa i krótko obciętych rudymi włosami. Jediną oznaką stanu duchownego był duży, srebrny krzyż, który zawsze nosiła na szyi.

W dłoni trzymała list.

- Obcięli nam fundusze. Langston Trust wycofał dotację właściwie z dnia na dzień. Przechodzimy do historii, Jack. Zaraz po świętach będziemy musieli zamknąć ośrodek.

W poniedziałek rano Madeleine zasiadła za swoim biurkiem i ukradkiem położyła dłoń na sercu.

Dziwne, pomyślała. Biło jak zawsze, a przecież zostało złamane. I to chyba na zawsze. Bolało, kiedy straciła ojca, ale wtedy wiedziała, że czas zabił rany.

Kochała go i on ją kochał, a serce zachowało drogie wspomnienia, które były jej skarbem i pociechą.

Natomiast ze zniknięciem Johna cały świat legł w gruzach. Dopiero teraz zrozumiała, jaką głupotą było uzależniać wszystkie nadzieje i

marzenia od jednej nocy z dopiero co poznanym mężczyzną. Boże, żeby dać mu taką władzę nad sobą!

Po raz tysięczny od sobotniego ranka spojrzała na swoje zdjęcie z Johnem opublikowane w rubryce towarzyskiej. Nikt nie mógł jej winić za to, że straciła głowę dla takiego mężczyzny. „Tajemniczy kowboj chwytą na łąso dziedziczkę magnata prasowego” - głosił podpis pod zdjęciem.

To prawda. Spętał jej duszę i serce. Także ciało - musiała to przyznać. Pragnęła go nawet teraz, wbrew wszystkiemu. Przeżyła z nim coś, czego nie przeżyła dotąd z żadnym mężczyzną. Dowiedziała się, czym jest prawdziwa namiętność, narodziła się na nowo. Ale wyszła z tej przygody zraniona, wstrząśnięta, jej uporządkowane życie zostało zburzone. Nie, nie nadaje się do takich doświadczeń. Zbyt się zaangażowała. Pierwszy raz i ostatni.

Zamknęła oczy i wbrew własnej woli zaczęła wspominać piątkową noc: galanterię, z jaką otulił ją swoim smokiem, smak kawy po irlandzku, masaż stóp, wspólne ubieranie choinki, swoje łzy i zupełnie już inny płacz, gdy skończyli się kochać.

Tej jednej nocy przeżyła więcej niż w całym swym dotychczasowym życiu. A teraz pozostało jej tylko złamane serce i kowbojski but z kozłej skóry numer 12. Co za ironia. Śmieszny but. Gosposia odkryła go pod łóżkiem w sobotę rano i dotąd chichotała na wspomnienie swojego znaleziska.

Madeleine ponownie spojrzała na zdjęcie i uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak jej tajemniczy książę w środku zimy wymyka się w jednym bucie.

Miała nadzieję, że zamarzną na śmierć.

Modliła się, by do niej wrócił.

- Zajęta jest pani pracą, panno Langston? - usłyszała sarkastyczny głos.

Ten sam głos, jakby echo tamtego... Podniosła głowę i czar prysł. Zmierzyła gniewnym spojrzeniem Jacka Riley. Oberwaniec, oceniła go szybko. Wyświechtana baseballówka. Nie ogolona twarz. Oczy za grubymi szklami. Rozciągnięta bawełniana bluza z idiotycznym napisem:

„Im gorzej, tym lepiej”.

Nie wiadomo dlaczego, zaczerwieniła się.

- Nie słyszałam, jak pan pukał, panie Riley.

- Nie pukałem. Nie sądziłem, że przeszkodzę w ważnych zajęciach - powiedział z kpiącym uśmiechem, spoglądając na biurko.

Madeleine chciała ukryć nieszczęsne zdjęcie, ale on już zdążył położyć dłoń na płachcie dziennika.

Podniosła wzrok i przeszedł ją dreszcz podniecenia. Ten człowiek miał w sobie jakiś wdzięk jaskiniowca.

- Madeleine - przemówił uwodzicielskim głosem.

- Tak? - Zmarszczyła gniewnie czoło. Kpił sobie z niej w piątek, a teraz zaczynał się spoufalać. Dotąd nie zwracał się do niej po imieniu.

Nachylił się ku niej. W jego postawie było jednocześnie coś agresywnego i nagabującego.

- O co chodzi, panie Riley? - zapytała chłodno.

- Chciałbym... - przerwał na chwilę - żeby oddać pani tę aferę łąpówkarską Bradowi i Derekowi.

- Nie. Pan się tym zajmie. Jest pan najlepszy - powiedziała, wyprowadzona z równowagi jego zachowaniem.

W ogóle jest najlepszym reporterem, jakiego ma. Niech to diabli, przeklęta w duchu.

- Przepraszam, chyba nie wyraziłem się dość jasno. Nie biorę tej afery - oznajmił, opierając obydwie dłonie o blat biurka.

- Być może to ja nie wyraziłam się dość jasno. Bierze pan tę aferę. Koniec.

- Założymy się?

- Przegra pan.

- Już się trzęsę ze strachu. Wyleje mnie pani? Zawahała się. Inne nowojorskie gazety przyjmą go z otwartymi ramionami. Dawno już mógł przejść do któregoś z największych dzienników i nie bardzo rozumiała, czemu dotąd tego nie zrobił.

- Zechce mi pan powiedzieć, dlaczego nie zamierza pan wziąć tej sprawy? - powiedziała, wściekła, że daje się wciągnąć w absurdalną

sprzeczkę.

- Nie mam czasu. Muszę pisać o czymś innym. - Wyprostował się, założył ręce na piersi i wbił w nią zimne, nieustępliwe spojrzenie. - Chodzi o Centrum Młodzieżowe Santiago w Brooklynie. Zamykają je, bo cofnięto fundusze.

Wpatrywał się w nią z takim uporem, że zaczęła się zastanawiać, czy ta rewelacja ma z nią coś wspólnego.

- Jesteśmy manhattańskim dziennikiem - stwierdziła idiotycznie.

- Jest pani prawdziwą jędzą, panno Langston - powiedział z głębokim przekonaniem i spojrzał na leżącą na biurku gazetę. - Ale czego można oczekiwać po osobie, która pokazuje się z facetem w smokingu i kowbojskich butach.

Zerwała się na równe nogi.

- Powinien pan się nauczyć dobrych manier, panie Riley!

Odrzucił głowę i wybuchnął tak głośnym śmiechem, że ludzie pracujący w sali za szybą podnieśli głowy, ciekawi, co się dzieje. Po czym najzwyczajniej w świecie wyszedł.

Rozdział 7

Dopiero pod koniec pracy Madeleine zebrała w sobie dość odwagi, by zejść do działu miejskiego. Najpierw stała długo przed lustrem w toalecie i wpatrywała się w swoje odbicie.

Wyglądała tak samo, jak zawsze. Każdy włos na swoim miejscu, delikatny makijaż, dyskretnie umalowane usta. Drobna, szczupła sylwetka. Kostium od Armaniego, bluzka z angory i skromne perły.

Czegoś jednak brakowało.

Dlatego właśnie tak ujęto ją to zdjęcie z Johnem. Na nim naprawdę była, miała to wypisane na twarzy. Żyła, miała „duszę”, „ogień wewnętrzny”, jakkolwiek by to nazwać.

Jedyna rzecz, która ją zagrzewała do walki, gdy szła do działu miejskiego, to złość. Większość pracowników już wyszła. Tylko Derek, Brad i Jack siedzieli przy wodzie mineralnej i rozmawiali.

Kiedy weszła, omiotła wzrokiem ich stopy.

Na Boga, pomyślała. To jakaś obsesja. Chyba traci rozum, skoro zastanawia się, który z nich nosi buty numer 12.

Jeden z nich nosił.

- Coś nowego? Fetyszizm stóp? - zainteresował się Jack Riley, idąc za jej wzrokiem.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Owszem, miał duże stopy, ale ten człowiek nosił zawsze jakieś obrzydliwe buciorzy, które brał chyba z darów Armii Zbawienia.

- Skończyliście, panowie? - zapytała, ignorując jego uwagę.

Zadzwonił telefon. Derek rzucił się ku niemu, jakby od tego zależało jego życie. Brad wykorzystał chwilę nieuwagi i czmychnął.

Nie patrząc nawet na swoje zabałaganione biurko, Jack sięgnął po wydruk i podał go Madeleine.

- Ma pani tę swoją cholerną aferę łapówkarską. Derek odwiesił słuchawkę i też dał nogę.

- A to - Jack rzucił drugi wydruk - artykuł o Santiago.

- Nie opiniowałam tego...
- Świetnie o tym wiem, kochanie - rzucił ze złośliwym uśmiechem.
- Proszę posłuchać uważnie. Ten artykuł pójdzie. Bez jednego skreślenia. Na pierwszej stronie kolumny działu miejskiego. Ze zdjęciami.
- A jeśli go wstrzymam? Schylił się i podniósł swoją torbę.
- Wtedy odchodzę, księżniczko.

Madeleine nie miała pojęcia, jak długo tak stała, oszołomiona jego atakiem, zanim wróciła wreszcie do swego gabinetu. Czerpał jakąś swoistą przyjemność z wtykania jej szpilek przy każdej okazji. Dzisiaj okazał się wyjątkowo cięty. Ostry jak arktyczne powietrze.

Przerzuciła kartki z artykułem o łapówkarzach. Ten człowiek był rzeczywiście dobry. Potrafił wydobyć z ludzi to, czego nie powinni ujawniać. Umiał dotrzeć do pilnie strzeżonych tajemnic. Zrobić z banalnej afery łapówkarskiej porywający artykuł.

Z ociąganiem sięgnęła po materiał o ośrodku młodzieżowym - i temat ją pochłonął. Dotowane z prywatnych funduszy centrum od pięciu lat pomagało nastolatkom, jak to się mówi - trudnej młodzieży. Teraz traciło źródło utrzymania. Dlaczego Riley nie powiedział jej tego od razu? Ma się rozumieć, że wydrukuje ten artykuł. Co on sobie wyobraża? Że ma do czynienia z pozbawionym serca Ebenezerem Scrooge'em z opowiadania Dickensa? Zaczęła szukać szczegółów.

- Panienko? - przerwał jej jakiś głos, zanim zdążyła cokolwiek znaleźć.

Podniosła głowę i zobaczyła pulchnego, wytwornie ubranego człowieka.

- Tak? - zapytała z nikłym uśmiechem.

Człowieczek uchylił kapelusza, skłonił się ze staroświecką kurtuazją i stuknął lekko elegancką laseczką o podłogę.

- Mam przyjemność z Madeleine Langston, prawda?

- Tak.

- Harry Fodgothor. Kreator mody męskiej - oznajmił, odkładając na bok kapelusz i dużą paczkę.

Madeleine uściśnęła jego dłoń.

- Miło mi. Czy my się znamy?
- Osobiście nie, ale ja znam panią ze zdjęć. W sobotniej gazecie było jedno, bardzo ładne - odparł z czarującym uśmiechem.

Litości. Czy cały świat już je widział? - westchnęła boleśnie.

- Podobał się pani smoking? To moje dzieło.

- Był rzeczywiście ele... - Mocniej zacisnęła dłoń na teczce, którą trzymała. - Pan szył ten smoking?

- W rzeczy samej. Niezła robota, jeśli wolno zauważyć.

- Kim on jest?

Harry Fodgothor przechylił lekko głowę.

- Kto?

- John. Ten w smokingu. - Oblała się rumieńcem. - Zainteresował mnie.

- Powinna więc była pani sama go o to zapytać.

- Kiedy on... zniknął, zanim zdążyłam się czegokolwiek dowiedzieć.

- Bawił w mieście przejazdem - powiedział Harry ze współczuciem w głosie. Najwyraźniej nie zamierzał zdradzić nic więcej. - Przyniosłem paczkę dla Jacka Rileya. Jest gdzieś tutaj? - zapytał Harry, obojętny już wobec jej miłosnych perypetii.

Co też Jack Riley mógł zamówić u kreatora mody męskiej? - pomyślała z zaciekawieniem.

- Obawiam się, że już wyszedł - rzekła zgodnie z prawdą.

- A niech to! Czeka na tę przesyłkę - powiedział ze smutkiem Harry.

Spojrzała zaintrygowana na podłużne pudło.

- To coś pilnego?

- Zależy. Potrzebował tego na wieczór wigilijny - odparł Harry, otwierając wieko.

Oczom Madeleine ukazał się najpiękniejszy strój Świętego Mikołaja, jaki kiedykolwiek widziała.

- Może będę w stanie pomóc? - powiedziała bez namysłu.

Harry uniósł brew.

- Jest pani śliczną młodą osobą, ale chyba nie nadaje się pani na Mikołaja.

- Chciałam powiedzieć, że mogłabym mu to dostarczyć... to znaczy panu Rileyowi.

- Znakomicie - ucieszył się Harry. Zamknął pudło i zapisał brooklyński adres na wieku. - To bardzo miło z pani strony, panno Langston. Nie będzie pani żałować, proszę mi wierzyć.

Jack siedział przy stole w świetlicy z siostrą Doyle. Dzieciaki grały w szachy, w bilard, a oni we dwoje przeglądali księgi rachunkowe ośrodka w poszukiwaniu promyka nadziei.

Nie doszukali się niczego. Centrum było zadłużone i nie miało żadnych rezerw finansowych.

- Wytrzymamy jeszcze trzy, cztery dni i będzie trzeba zamykać. Chyba że Lodowa Panna wydrukuje mój artykuł i dotacje zaczną płynąć strumieniem.

- Dlaczego miałyby nie wydrukować? - zapytała siostra Doyle.

- Jesteśmy manhattańską gazetą - odparł Jack, przedrzeźniając snobistyczny akcent Madeleine.

- Wyjaśnięś, dlaczego musi to opublikować?

- Miałem powiedzieć, że powinna zamieścić materiał na temat chciwości własnej rady nadzorczej? Urocze. - Jack upił łyk gorącej herbaty.

Nie mógł uwierzyć, ile bólu sprawiło mu uświadomienie sobie, jaka naprawdę jest Madeleine. Doprowadzała go do szaleństwa. Chciał myśleć o niej jako o kruchej istocie z wielkimi, smutnymi oczami, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że jest zbyt bogata i zepsuta, by mężczyzna mógł zatrzymać ją przy sobie na dłużej.

- Co u Marii?

- Dość dobrze, zważywszy na jej sytuację. - Siostra Doyle zerknęła na dziewczynę; siedziała w kącie sali i przeglądała jakiś podręcznik dla młodych matek. - Nie rozumiem Jose. Wydawało się, że to odpowiedzialny chłopak, a on tak po prostu ją zostawił.

- Gdzie ona się teraz podzieje z dzieckiem? - mruknął Jack ponuro.

- Jeśli zamkniemy ośrodek, a Jose się nie znajdzie, to Bóg jeden wie. Jack z trzaskiem zamknął księgę rachunkową, zdjął okulary i przetarł

zmęczone oczy.

- Nie tak szybko, siostró. Coś wymyślimy, choćbym miał się czołgać na kolanach przed Madeleine Langston.

Wstał od stolika i podszedł do dwóch chłopców, którzy zamiast odrabiać zadania z geometrii, pojedynkowali się na pióra. Po chwili przywrócił ich do porządku. Lubił moment, kiedy dzieciak zaczynał wciągając się w to, co robił, a pełna zainteresowania i skupiona mina rekompensowała z nadatkiem wszystkie wysiłki.

Wkrótce jednak i to miało się skończyć.

Nagle Marco, inny z chłopców, korzystających często ze schroniska, podniósł głowę znad stołu bilardowego i gwizdnął przeciągle. Jego kolega, Raul zawołał coś z podziwem po hiszpańsku i obaj chłopcy zaczęli gapić się w stronę drzwi.

Jack odwrócił głowę i... oniemiał. Do środka wkroczyła Madeleine Langston, nieskazitelna niczym śnieżynka z „Dziadka do orzechów” - w białym, ekologicznym futrze, białych botkach z miękkiej skóry i białych rękawiczkach, z zaróżowionymi od mrozu policzkami. Rozejrzała się po sali. Jack nie widział nigdy równie cudownego zjawiska.

Dlaczego tylko ma takie zimne serce?

Sprawiła wrażenie zakłopotanej, zupełnie nie na miejscu tutaj, w brooklyńskim ośrodku dla dzieciaków z marginesu.

Jack ruszył jej na spotkanie.

- Witam.

Patrzyła na niego bez słowa.

Czyżby go w końcu przejrzała? Odkryła prawdę? Wie, z kim spędziła piątkową noc?

- Dzień dobry. - Była dużo mniej pewna siebie niż w redakcji. - No więc... przyniosłam panu coś. To od pańskiego przyjaciela, Harry'ego Fodgothera - powiedziała, wręczając mu pudło.

Jack wstrzymał oddech.

Czyżby Harry się wygadał? Wykluczone. Gdyby coś zdradził, nie rozmawiałaby z nim teraz. Nie jechałaby tutaj, bo i po co? Wygarnęłaby mu raczej jutro, w redakcji.

- Strój Mikołaja. Dziękuję. - Jack odstawił pudło.

- On... to znaczy Harry, twierdził, że potrzebuje go pan na dzisiejszy wieczór.

- Tak? - Jack uśmiechnął się.

Niezły spryciarz ten Harry. Za wszelką cenę szuka sposobu, by pchnąć Madeleine w jego ramiona. Zdaje się, że to przeklęte zdjęcie miało czarodziejską moc. Było w stanie przekonać nawet największych sceptyków, że tych dwoje ma się ku sobie.

- Coś pokręcił. Ten strój będzie potrzebny dopiero w Wigilię. Ale dziękuję, że go pani przyniosła.

- Bardzo proszę. Ma pan zamiar wystąpić w roli Mikołaja?

- Namówiłem Dereka. Będzie świetny.

- Na pewno. - Rozejrzała się po sali. - A więc to jest Centrum Młodzieżowe Santiago.

- Tak. Oprowadzić panią?

Wahała się tylko chwilę, ale wystarczająco długo, by wyprowadzić Jacka z równowagi.

- Rozumiem, że woli pani siedzieć w swoim schludnym gabinecie i wypisywać od czasu do czasu czeki, niż stykać się z tymi dzieciakami, ale przez wzgląd na nie proszę okazać choć trochę zainteresowania - syknął jej do ucha.

- Drań z pana, panie Riley - odparowała przez zaciśnięte zęby.

Po czym, niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, cała w uśmiechach zaczęła witać się serdecznie z siostrą Doyle i dzieciakami. Zrazu była nieco sztywna, ale uparła się, żeby Marco pokazał jej, jak się gra w bilard. Bezskutecznie usiłowała trafić w bilę, za to w szachach okazała się świetna. W rekordowym czasie dała mata Andre, najlepszemu szachiście w ośrodku.

Zadziwiająca kobieta. Z miejsca podbiła serca dzieci. Jack obserwował, jak z ożywieniem rozprawia o jakiejś zawitej kombinacji, siedząc z Andre przy szachownicy. W puszystej miękkiej bluzce, ozdobionej pojedynczym sznurem pereł, wyglądała jak anioł. Nie mógł jej rozgryźć. Raz przypominała Marilyn Monroe, to znowu Joan

Crawford, by za chwilę upodobnić się do Doris Day. Miał wrażenie, że zaraz zacznie śpiewać „Que sera, sera”.

Kiedy skończyła grać z Andre, przysiadła się do Marii. Jack udawał, że nie słucha ich rozmowy, ale pilnie nastawiał uszu. Co miały sobie do powiedzenia Madeleine i dziewczyna z latynoskiej dzielnicy?

- Widzę, że oczekujesz wielkiego wydarzenia - zagadnęła Madeleine.

Maria wskazała na książkę, którą trzymała na kolanach.

- Na to wygląda. Nie wiem, jak sobie poradzę, to taki obowiązek. Ma pani dzieci?

- Nie, ale bardzo chcę mieć. Najpierw jednak muszę znaleźć sobie chłopaka. Nie jestem w tym chyba dobra - odparła ze śmiechem Madeleine.

Maria dotknęła swojego brzucha.

- Ja jestem chyba za dobra. W każdym razie byłam. *Madre de Dios...* - głos jej zadrżał.

Madeleine ujęła jej dłoń.

- Skarbie, nie ma na świecie matki, która by się nie bała. Możesz mi wierzyć. Rzeczywiście czeka cię ciężki czas, ale jeśli zaciśniesz zęby, będziesz się ze wszystkich sił starała i kochała swoje dziecko, dacie sobie radę.

- To samo mówi siostra Doyle.

- Ma rację. Czy jesteś... - Madeleine szukała z trudem słów. - Jesteś sama?

- Tak - chlipnęła Maria. - Kocham Jose. Myślałam, że on też mnie kocha i że cieszy się z dziecka, ale zniknął. Jack obiecał, że go odszuka, ja jednak na nic już nie liczę. Zostałam sama, z brzuchem. Na razie mieszkam tutaj, ale zaraz po świętach zamkną ośrodek, a wtedy nie wiem, co będzie.

Madeleine pokiwała głową.

- Słyszałam o tym.

Jack poczuł gorzką satysfakcję. A więc przeczytała jego artykuł.

- Naprawdę nie wiem, gdzie się wtedy podzieję - ciągnęła Maria

ponuro. - Chyba że zdarzy się cud.

Madeleine zaśmiała się cicho.

- Cuda się zdarzają. Proszę - podała Marii wizytówkę - to numer mojego telefonu komórkowego. Gdyby coś, możesz dzwonić o każdej porze.

- Dziękuję. - Maria schowała wizytówkę do książki.

- Nie wierzę, że pozwoli pan zamknąć ten ośrodek - powiedziała Madeleine zatroskanym głosem, kiedy Jack odprowadzał ją do wyjścia.

Riley zaśmiał się gorzko.

- To nie ode mnie zależy, droga pani. Zdaje się, że to pani wstrzymała dotacje - powiedział, wyprowadzając ją przed budynek.

Madeleine stanęła bez ruchu, nie zważając na wiatr i śnieg, który moczył i rozwiewał jej staranną fryzurę.

- Co pan powiedział?

- Dotacje - powtórzył powoli. - Może to małostkowe z mojej strony, ale pani rada nadzorcza narobiła nam niezłego bigosu.

Madeleine Langston zrobiła rzecz najmniej oczekiwaną. Przysiadła na kamiennym stopniu.

- Chwileczkę, Riley. Nic nie rozumiem. Co moja rada nadzorcza ma wspólnego z pańskim ośrodkiem?

Czy to możliwe, żeby nie wiedziała? - zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Cofnęli dotację. Myślałem, że to pani podjęła decyzję. Nie czytała pani artykułu?

- Harry przerwał mi, zanim skończyłam, ale wcześniej zdecydowałam, że pójdzie. Opublikujemy go, tak jak pan chciał. - Wyglądała teraz jeszcze piękniej i była jeszcze bardziej zakłopotana niż zwykle. - Chodźmy, Riley - rozkazała nagle.

Ruszył za nią do najwspanialszego samochodu, jaki widział w życiu. Niski, o opływowych kształtach, połyskliwie czerwony, zdążył już przyciągnąć grupkę dzieci z sąsiedztwa.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Jack.

Otworzyła drzwiczki pilotem i rzuciła mu kluczyki.

- Do pana, musi mi pan wyjaśnić kilka rzeczy.
- Trafiło mi się - mruknął Jack, wsłuchując się z lubością w szum zapalającego silnika. - Raz w życiu mogę poprowadzić maserati i mamy do przejechania ledwie kilkanaście przecznic.

Gdy ruszyli, Jack zachwyił się samochodem niczym nastolatek. Po kilku minutach jazdy z prawdziwym żalem parkował przed własnym domem.

- Wóz będzie bezpieczny. Pan Costello ma oko na wszystko - powiedział, machając przyjaźnie do staruszka, tkwiącego w oknie na parterze. Pan Costello uniósł kciuk i skinął głową z aprobatą.

- A teraz, panno Langston, do interesów - powiedział Jack, otwierając drzwi.

Rozdział 8

Madeleine przez cały wieczór usiłowała pamiętać, że nie lubi Jacka Riley, ale im dłużej z nim przebywała, tym trudniej jej to przychodziło.

Nadal był tym samym impertynentem, którego znała wcześniej, ale dzisiaj dowiedziała się o nim czegoś ważnego.

Jack Riley miał serce wielkie jak Manhattan,

Wrył się jej w pamięć widok, który zastała, wchodząc do ośrodka. Siedział z dwoma chłopcami, którzy odrabiali matematykę; łagodnie zachęcał, tłumaczył, nie rezygnował, gdy większość dorosłych dawno machnęłaby ręką.

- Jesteśmy - powiedział, otwierając drzwi mieszkania na pierwszym piętrze. - Proszę wejść i zobaczyć, jak mieszka gorsza połowa nowojorczyków.

- Co pan ma na myśli? - zapytała ze złością. Zapalił światło.

- Och, nie wiem. Coś mi mówi, że pani zajmuje ładniejszy lokal.

Zrzuciła płaszcz i rozejrzała się po pokoju. Mieszkanie było ciasne, stare, zagracone, ale przytulne. Jedną ścianę zajmowały regały po sufit wypełnione książkami. Na stole do pracy, na którym panował jeszcze gorszy bałagan niż na redakcyjnym biurku Jacka, stał komputer i wieża stereo, wokół piętrzyły się sterty papierów. Program oszczędzający ekran monitora był zdecydowanie niecenzuralny.

- Miła scena - pochwaliła.

Nie odpowiedział na tę złośliwość. Wszedł do kuchni, oddzielonej od części mieszkalnej barkiem z wysokimi stołkami.

- Na co ma pani ochotę? Kawa? Herbata? Robię wspaniałą... - ugryzł się w język. - Może jednak herbata?

- Może być.

Zaczął stukać naczyniami, klnąc przy tym pod nosem.

- Proszę czuć się jak u siebie w domu - zawołał. Powoli obchodziła pokój, zaintrygowana osobistymi drobiazgami. Wypatrzyła zdjęcie

małego Jacka, siedzącego na skrzyni furgonetki z wielkim, uśmiechniętym kundlem w objęciach.

Dobry Boże, jakim był ślicznym dzieckiem, pomyślała.

Na innej półce natknęła się na zdjęcie rodziców, a także tani, zamawiany w zakładzie fotograficznym portret pięknej ciemnowłosej dziewczyny. Madeleine szybko odwróciła głowę i jej wzrok trafił na dyplom Uniwersytetu Stanowego w Teksasie z notą pochwalną.

- Nie mówił pan, że pochodzi z Teksasu - zawołała.
- Nie mówiłem też, że nie pochodzę - odkrzyknął.
- Kim jest ta dziewczyna?

Na moment zaległa martwa cisza.

- Miała na imię Annie - powiedział wreszcie. Madeleine przeszedł zimny dreszcz.

- Miała?
- Uhm. Umarła sześć lat temu.

Zamknęła oczy i powoli wciągnęła powietrze.

- Proszę powiedzieć, że już przeszło. Wychylił głowę z kuchni.

- Już przeszło - powtórzył.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem i zaczęła oglądać dyplomy uznania. Ich liczba świadczyła o tym, że Jack Riley udzielał się społecznie od wielu lat. Praca z dziećmi z biednych środowisk była jego stałym drugim zajęciem.

Nalał herbatę, bez pytania wsypał jedną łyżeczkę cukru i podał kubek Madeleine.

- Skąd pan wie, że słodzę tylko jedną?

- Pewnie stąd, że jest pani taka słodka.

- Właśnie. Nie...

- Jedna łyżeczka cukru, bez mleka, Benny - powiedział, naśladując jej zamówienia rzucane chłopcu rozwożącemu w redakcji napoje i kanapki.

Ze śmiechem usiadła na kanapie.

- W porządku, Riley. Zacznijmy od początku. Usiadł obok niej. W świetle ocienionej kloszem lampy wyglądał nieco przyzwoiciej niż

zwykle. Gdyby nie ten strój oberwańca i kogucia zawadiackość, mógłby być nawet przystojny.

- Albo tak dobrze potrafi pani udawać, albo rzeczywiście nie ma pani o niczym bladego pojęcia.

- Przyłapał mnie pan kiedyś na kłamstwie?

- Nie - przyznał bez oporów. - Dlatego z panią rozmawiam. Więc dobrze, zaczynam od samego początku. Cała sprawa zaczęła się kilka lat temu, kiedy jeszcze pani ojciec zawiadywał gazetą. Przyniosłem jakiś artykuł. Spodobał mu się, chciał się ze mną spotkać. Dogadaliśmy się i tak znalazłem się w waszej redakcji.

Jasne, ojciec miał prawdziwego nosa do odkrywania talentów, pomyślała.

- Nie miałam pojęcia, że znał pan ojca. - Zasepiła się na moment. Teraz żałowała, że nigdy wcześniej nie interesowała się gazetą.

- Zawarłem z pani ojcem przedziwną umowę.

- Jaką?

- Nigdy nie dopominałem się o podwyżki.

- Zauważyłam. Był jakiś powód?

- Zgodziłem się na niewielką pensję, ale załatwiłem ogromną coroczną dotację dla ośrodka.

Spojrzała na wyblakłe zdjęcie pięknej Annie.

- To miało coś wspólnego z nią, Jack?

- Do pewnego stopnia. Jesteś bardzo spostrzegawcza, Madeleine. - Poprawił okulary na nosie.

- Co się stało?

- Brała narkotyki. Ciągle przyrzekała sobie, że z tym skończy. Potem przestała walczyć.

- Ale ty nie przestałeś? - zapytała Madeleine cicho.

- Chyba nie. Tak czy inaczej, twój ojciec sfinansował całe przedsięwzięcie, a potem, rok w rok, bez zbędnego rozgłosu przysyłał dotację, która pokrywała połowę kosztów utrzymania ośrodka.

Madeleine poczuła, że robi się jej ciepło na sercu.

- Ojciec...? Zbiera mi się na płacz.

- Co takiego?

Nie wierzyła, że przyznała się przed nim do własnej słabości, ale powtórzyła:

- Zbiera mi się na płacz. To takie typowe dla ojca... Pomyśleć, że i ja mogłabym...

Łzy popłynęły strumieniem i zanim Jack zorientował się, co robi, tulił ją już w ramionach. Madeleine zapomniała, że jest oberwańcem, który wygaduje obrzydliwości pod jej adresem i gardzi jej stylem życia. Mogła mu się wyplakać na ramieniu, a w tej chwili tego właśnie było jej trzeba. Pachniał pralnią i czymś, co przy odrobinie dobrej woli mogłaby nazwać męskością. Miał mocne bary i niosące ukojenie, boleśnie znajome dłonie.

Zwariowałam, chyba naprawdę zwariowałam, powtarzała gorączkowo w myślach. Pociągał ją czy po prostu szukała pocieszenia? Nie, to musiało być coś więcej. Rana po Johnie Patricku nie zablizniła się co prawda, ale Jack stał się naraz w jej życiu kimś bardzo ważnym.

Nachylił się i przysunął pudełko z chusteczkami. Zdziwiona, zauważyła, że jest kompletnie wytrącony z równowagi.

- Już dobrze, Madeleine?

Kiwnęła głową i sięgnęła po chusteczkę.

- Ciągle mnie zaskakujesz, a już myślałem, że cię rozgryżłem.

Uśmiechnęła się blado.

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie. Wracajmy do dotacji.

- Twój ojciec był wspaniałym facetem, ale rada nadzorcza najwyraźniej zamierza skończyć z dobroczynnością.

- Byłam na ostatnim posiedzeniu - powiedziała, wycierając oczy. - Nie było mowy o... - Pstryknęła nagle palcami. - Chwileczkę. Kilka dni temu dostałam notatkę. Coś na temat postanowień zarządu. Nie miałam czasu przeczytać.

- Ktoś przeforsował decyzję za twoimi plecami. Zaraz po świętach ośrodek przejdzie do historii.

- Przykro mi, że studzę twoje szlachetne oburzenie, ale się mylisz. Dopilnuję, żeby ośrodek nadal dostawał potrzebne dotacje.

Patrzył na nią bez słowa, raptem jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Do diabła, panno Langston. Twoja szczodrośliwość jest taka... czy ja wiem... taka seksowna, szczególnie dla faceta w ciągłych tarapatach.

Ze śmiechem rzuciła w niego poduszką.

- Jesteś bezwstydnym! Zupełnie bezwstydnym, Jacku Rileyu.

- Ale zawsze dostaję to, czego chcę - stwierdził, odrzucając poduszkę.

- A czego chcesz, Riley?

- Prócz twoich pieniędzy? Cóż... - Nachylił się i szepnął jej do ucha coś, co sprawiło, że przeszły ją palące ciarki.

- Nie dostyszałam.

- Powtórzę. - Pocałował ją w ucho i zanim zdążyła się zorientować, poczuła jego wargi na swoich ustach, spragnione i realne, jak sam Jack Riley.

Ku swemu zdumieniu, odpowiedziała równie gorącym pocałunkiem. Nie próbowała myśleć, protestować, opierać się. Dopiero kiedy osunęli się obydwoje na kanapę, położyła mu ręce na piersi i mobilizując całą siłę woli, odepchnęła go od siebie.

- Nie, Riley! - wykrztusiła z rozpalonymi policzkami.

- Daj spokój, Madeleine. Obydwoje tego chcemy. To przyjemne.

- Ja... nie mogę.

- Nie możesz pozwolić sobie na to, co przyjemne?

- Nie mogę - wykrztusiła do cna zmieszana. Przecież kilkadziesiąt godzin temu kto inny złamał

jej serce, czyż nie? Jak może pragnąć tego mężczyzny? Na starość zmienia się w ladacznicę. Najpierw facet na jedną noc, a teraz Jack Riley! Byłyby z tego piękne nagłówki: „Dziedziczka magnata prasowego i uwodziciel z działu miejskiego”. Zresztą wymyśliliby pewnie coś jeszcze lepszego.

- Co to znaczy, nie możesz? - Jego dłonie nie spoczywały, sunąc po jej szyi, obojczyku, bluzce z angory.

- Nie uznaję przelotnych przygód. Ja... nie udają mi się. - Wsparta się na dłoniach i usiadła.

- Kto mówi o przygodzie? - zapytał. - Przelotnej do tego?
- A cóż to miałoby być innego? Zachichotał i znowu szepnął jej coś do ucha. Skoczyła jak oparzona.
- Za wiele sobie pozwalasz, Jack. Muszę... gdzie jest łazienka?
- Niedobrze ci? Przeze mnie?
- Zdenerwowałaś mnie.

Z leniwym uśmiechem wskazał jej kierunek. Zamknęła za sobą drzwi i roztrzęsiona oparła się o nie. Zacisnęła powieki.

Boże! Co ona wyczynia? Omal nie poszła do łóżka. I to z kim? Z Jackiem Rileyem. Oszalała czy co? Najgorsze jednak było to, że naprawdę go pragnęła, tego gburą, oberwańcą, impertynentą. Było w nim coś, czego potrzebowała.

To śmieszne - tłumaczyła sobie - nie mówiąc już o tym, że rozpustne i niemoralne, szukać zażyłości z człowiekiem, którego ledwie zna i którego powinna jakoby nie lubić. Z człowiekiem tak całkowicie różnym od tajemniczego nieznanego z piątkowej nocy. Jej zdrowie psychiczne wisi na włosku. Oczekiwała, że pierwsze święta bez ojca będą ciężkie, tymczasem poddaje się rozpasanym emocjom.

Jack Riley! Akurat on spośród wszystkich mężczyzn!

Trzymała przez chwilę dłonie pod zimną wodą, po czym przemyła twarz. Łazienka była równie przytulna i zagracona, jak reszta mieszkania. Kiedy sięgała po czysty ręcznik, zrzuciła plastikowy kubek. Nachyliła się, by go podnieść, i wtedy zobaczyła kowbojski but.

Powoli wycierając dłonie i twarz, wpatrywała się w ów but, jakby był perłą odnalezioną na wysypisku śmieci. Nie powinna być zaskoczona, skoro wie, że Jack pochodzi z Teksasu. A jednak.

Podniosła znalezisko, by uważnie je obejrzeć. Czarna skórka. Firma Lucchese z San Antonio. Numer 12.

Przez chwilę na próżno usiłowała wyjaśnić znaczenie tego, co widziała. Stała tak niczym sparaliżowana, odrętwiała, z pustą głową.

- Hej! Madeleine! Dobrze się czujesz? - usłyszała głos Jacka.
- Uhm - mruknęła słabym głosem, po czym ostrożnie odstawiła but. Pytał, czy dobrze się czuje...

Jasne, Jack, odpowiedziała w duchu.

Zaczęła intensywnie myśleć. Za wszelką cenę chciała się mylić.

„Czego można oczekiwać po osobie, która zadaje się z facetem w smokingu i kowbojskich butach” - usłyszała echo jego słów. No tak, widział fotografię w gazecie. Tyle że tamto zdjęcie pokazywało szczęśliwą parę tylko do pasa. Jack nie mógł wiedzieć o butach. Chyba że należały do niego, dopowiedziała w myślach.

Poczuła bolesny ucisk w gardle.

Nie, nie będzie płakała. Nie przy nim. Płacz oznaczałby, że jej na nim zależy, a do tego nigdy się nie przyzna.

Wyszła z łazienki i cicho zamknęła za sobą drzwi. Jack przywitał ją pytającym spojrzeniem.

Teraz dopiero zobaczyła to, co powinna była dostrzec od pierwszej chwili. Mocno zarysowana dolna szczęka. Piękne dłonie. Brązowe oczy. Szczupła sylwetka o wąskich biodrach.

Jej oczy były równie ślepe, jak serce.

- Muszę już iść. Nie mogę tu zostać - oznajmiła, wymawiając z naciskiem każde słowo.

- Źle się czujesz? Mów, co się z tobą dzieje? Nic. Wszystko jest w najlepszym porządku. Poza tym obrzydliwym kawałem, który mi wyciąłeś, wszystko jest po prostu wspaniałe, chciała powiedzieć, lecz zamiast tego powtórzyła tylko:

- Późno już. Muszę iść.

- Ale...

Wzięła swój płaszcz.

- Popęłniłam błąd, że tu przyszedłam. To nie powinno być się zdarzyć. Do widzenia, Jack.

Zbiegła szybko po schodach. Wybiegł za nią, wołał, ale nie zwracała na niego uwagi. Zapaliła silnik i ruszyła pełnym gazem.

Raz jeden zerknęła w lusterko wsteczne. Stał na krawężniku - wysoka, smukła sylwetka w świetle latarni. Łzy napłynęły jej do oczu. Przyrzekła sobie, że ostatni raz płacze z powodu Jacka Riley'a.

Rozdział 9

Następnego dnia Jack jechał do redakcji metrem. Monotonny stukot wagoników, nieciekawe twarze pasażerów i ociężały ruch w przejściach podziemnych współgrały z jego nastrojem. Gdzieś natykał się na kolędników i sprzedawców bombek - natrętne przypomnienie, że to Wigilia, przypomnienie, które czym prędzej odganiał z myśli.

Próbował przygotować się na spotkanie z Madeleine. Przez całe życie zawodowe miał do czynienia ze słowami, cyzelował je, układał w zdania, nadawał im sens. Dzisiaj ta biegłość go zawodziła.

Po prostu nie było słów, by wytłumaczyć Madeleine, dlaczego zrobił to, co zrobił, a i sam nie był w stanie wyjaśnić sobie, co się stało ubiegłego wieczoru, kiedy spojrzała na niego i powiedziała: „Zbiera mi się na płacz”.

Poczuł wtedy, że zakochał się w niej. Ostatecznie i nieodwołalnie.

- Rychło w, czas, Riley - mruknął pod nosem, brnąc w śniegu.

Wszedł do budynku redakcji i z wściekłością nacisnął przycisk windy. Na górze ruszył prosto do gabinetu Madeleine. Siedziała za biurkiem, spokojna niczym mistrz zen.

Do licha, jaka ona piękna, pomyślał. I jaka niewzruszona, dopowiedział i poczuł się odrobinę różnie. Może jej nie skrzywdził. Może potraktowała to jako grę, żart, kawał. Może w całej historii dojrzała coś zabawnego.

Może, może, może...

- Madeleine... - głos uwiązał mu w gardle, a zasób dźwięków zredukował się do pomruków wydawanych przez jaskiniowców. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że miłość prowadzi do zaniku mózgu.

Wskazała na otwartą teczkę na biurku.

- Twoje dane osobowe. Przyznaję, że trzymałeś się dość blisko prawdy. Rzeczywiście masz na imię John, John Patrick Riley. Rzeczywiście pochodzisz z Teksasu... - Podniosła na niego wzrok,

obojętny, wolny od oskarżeń. - Powiedz mi, czy zaplanowałeś to, czy też był to wymyślony naprędce kawał?

- Oj, daj spokój, Madeleine. Zachowujesz się tak, jakbym chciał cię skrzywdzić...

- A może miałeś jakiś inny motyw? - mówiła spokojnie, jakby go nie słyszała. - Może założyliście się o bilet na Knicksów, który pierwszy zaciągnie mnie...

- Chryste! Madeleine! - wykrzyknął i zatrzęsął z hukiem drzwi.

Zamrugła powiekami, ale nawet nie drgnęła. Zaczynał się jej bać - zimna, bezduszna, nieludzko spokojna. A jednak dostrzegł dwie rzeczy, które ją zdradzały. Miała połamane paznokcie i, jeśli się nie mylił, źle zapięta bluzkę.

O Boże, Madeleine, tak strasznie mi przykro, kołatały mu się po głowie niezgrabne słowa.

- Nie przyszło mi do głowy, że sprawy zajdą tak daleko.

Nie przyszło mi do głowy, że się w tobie zakocham, dopowiedział jakiś głos w głębi jego duszy.

- Kto powiedział, że mam ci to za złe? Może tego właśnie chciałam. Ostupiał.

Czyżby wiedziała od początku? Przystąpiła na maskaradę, bo chciała pójść z kimś do łóżka, bez żadnych zobowiązań? - pytał siebie w myślach.

- Jeśli martwisz się o dotację, to całkiem niepotrzebnie. Zadbam o wszystko. Ośrodek będzie istniał nadal. To, że jesteś draniem, nie oznacza, że dzieciaki mają cierpieć.

Uszczypliwy ton jej głosu wytrącił go wreszcie z ostupienia.

- Świetna jesteś. Wiesz o tym? Dobrze, umowa stoi. Będziesz wypisywać czeki i będziesz miała czyste ręce. Wyśmienicie. Po prostu kapitalnie.

- Kapitalnie - zgodziła się chłodno.

- Zimna z ciebie zawodniczka.

- Spodziewałeś się, że padnę ci do stóp, numer 12 zresztą, i będę krzyczała: „Złamałeś mi serce”. Tak?

- Nie, Maddy. Nie - westchnął z rezygnacją.
- To dobrze, bo nasza rozmowa zaczyna przypominać tekst ballady country. To wszystko. Żegnam cię. Jestem zajęta. - Wzięła z biurka pieczętkę i przystawiła ją z łoskotem na kwestionariuszu Jacka.
- Aha! I jeszcze jedno - powiedziała, gdy zmierzał do drzwi.
- Tak?
- Jesteś zwolniony. Ze skutkiem natychmiastowym.

Faksy i poczta elektroniczna dostarczały informacji bez wytchnienia. O dziesiątej rano cały świat zdawał się już wiedzieć, że Jack Riley został wylany. Madeleine jakimś cudem zdołała napisać artykuł wstępny do bożonarodzeniowego numeru - płynący z serca komentarz o współczesnej miłości i o pogrzebanym micie zawartym w słowach „żyli długo i szczęśliwie”. Prawda dnia dzisiejszego - pisała - to los dziewcząt takich, jak Maria: porzuconych przez swoich chłopaków, bezdomnych, zdanych na łaskę obcych. To pustka przygód na jedną noc.

Na końcu umieściła prośbę o finansowe wspieranie miejsc podobnych do Centrum Młodzieżowego Santiago. Artykuł był napisany jasno, oszczędnie. Czuła, że jest dobry.

Około południa rozdzwoniły się telefony. Ogłoszeniodawcy, oburzeni tym, że najlepszy reporter „Kuriera” musiał odejść, wycofywali reklamy. Dzień, który zaczął się źle, z każdą godziną stawał się coraz bardziej nie do zniesienia. Madeleine zwolniła wszystkich pracowników wczesnym popołudniem. W końcu to Wigilia. Kiedy zaś redakcja opustoszała, a w podziemiach ruszyły maszyny drukarskie, zeszła do działu miejskiego. Opuszczone biurko Jacka ciągnęło ją niczym magnes.

Wyrzuciła człowieka w Wigilię. Ze skutkiem natychmiastowym. Co się z nią dzieje?

Biurko wyglądało żałośnie, pozbawione osobistych rzeczy i zawałającej je sterty papierzysk - znaku firmowego Jacka Rileya. Przypominała sobie drobiazgi, które nic dla niej nie znaczyły, zanim go nie poznała. Niezgrabny kubek do kawy, ulepiony, jak się okazało, przez jedno z dzieci z ośrodka. Suszka do atramentu z wypalonymi na wierzchu słowami: „Dla pana Rileya”.

Tak, „pan Riley” był wyjątkowym człowiekiem. A ona wyrzuciła go ze swojego życia, i to w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia.

Westchnęła ciężko i powiedziała sobie, że musi o nim zapomnieć. Już miała wychodzić z pokoju, gdy ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że nie jest sama.

- Co pan tu robi? - zapytała ostro.

Harry Fodgother postąpił jej promienny uśmiech.

- Szukam Jacka, o czymś zapomniałem. - Harry położył torbę plastikową na pustym biurku. Zdjął kapelusz i zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. - Wygląda pani, jakby zmarł jej najlepszy przyjaciel.

Zezłościło ją to wścibstwo.

- Pan jeszcze nie w domu? - zdziwiła się.

- Dla mnie to dzień jak każdy inny. Ja obchodzę Chanukę, jestem Żydem, ale pomyślałem sobie, że mogę przekazać pieniądze na jakiś chrześcijański cel. Na to Centrum Santiago, o którym czytałem w pani gazecie.

- Wspaniale, panie Fodgother. Jack się ucieszy.

- To dobrze. Wiele mu zawdzięczam, kto wie, czy nie życie.

Zmarszczyła czoło.

- O czym pan mówi? Harry wzruszył ramionami.

- Jack nie jest typem, który by się przechwalał. Uratował mi życie.

W zeszły piątek. Dwóch oprysz-ków chciało mnie okraść. Jack natarł na nich niczym lokomotywa. Rozłożył obydwu. Kiedy się pozbierali, uciekli.

- W zeszły piątek?

- Tak. Nie chciałem nic przyjąć w podziękę, ale ja nalegałem. Kiedy pokazał mi zaproszenie, ja zamieniłem się w lokomotywę. Zupełnie go odmieniłem. - Harry mrugnął szelmowsko okiem. - Całkiem był nie do poznania, prawda?

- Jakby go ktoś zaczarował - przytaknęła zafascynowana.

Harry zakręcił laseczką.

- Cuda się zdarzają. Mam nadzieję, że dobrze się pani bawiła tamtego wieczoru. Jack miał skrupuły, ale wytłumaczyłem mu, że nie pożałuje, że będzie się upajał każdą chwilą...

Obydwoje upajaliśmy się każdą chwilą, pomyślała Madeleine.
Znaleźliśmy się poza rzeczywistością, w baśni.

- Cóż, pójdę już. Proszę oddać to Jackowi, kiedy go pani zobaczy - powiedział Harry, wskazując na torbę, po czym ruszył w stronę wind.

- Nie będę się już z nim widziała.

- Będzie pani. Proszę mi wierzyć. Rozzłoszczona, chwyciła torbę i chciała dogonić Harry'ego, mały pan jednak już zniknął.

Stała tak, niepewna, co ma zrobić z pakunkiem, gdy w torebce odezwał się telefon komórkowy.

- Słucham?

- Panna Langston?

- Maria! Wszystko w porządku?

- Zadzwoiłam już po taksówkę. Jadę do szpitala.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała Madeleine, uradowana i przejęta.

- Jak... jak przed porodem. Panno Langston? - Tak?

- Mogłaby pani... no, przyjechać do szpitala? Tylko na chwilę.

- Mario? - Tak?

- Za nic w świecie nie przepuściłabym takiej okazji.

Rozdział 10

Z rozwianymi połami futrzanej kurtki, bez czapeczki, którą zgubił gdzieś po drodze, Jack szedł szybko szpitalnym korytarzem. Maria Garza okazała się o wiele dzielniejsza i doroślejsza niż przypuszczał. Nie chcąc zakłócać wigilijnego wieczoru, wezwała cichaczem taksówkę i sama pojechała do szpitala.

Kiedy tylko zorientował się, że znikła, natychmiast wybiegł z ośrodka, przekazując wszystkie obowiązki siostrze Doyle. Na kolacji wigilijnej zebrali się wszyscy sąsiedzi centrum. Derek paradował w wytwornym stroju Świętego Mikołaja, Brad częstował ponczem. Koledzy zaskoczyli Jacka swoją skwapliwością w pomocy. Być może zrobiło im się przykro, że został wylany w same święta.

Zatrzymał się obok pokoju pielęgniarek.

- Maria Garza? - zapytał.

Siostrzyczka spojrzała na niego znad okularów, po czym wystukała coś na klawiaturze komputera.

- Niedługo powinni zabrać ją na salę porodową. Pan jest ojcem?

- Nie, ale...

- Ja jestem ojcem - odezwał się smętny głos.

Obok siebie Jack zobaczył chłopaka w kurtce firmy budowlanej, przestępującego niespokojnie z nogi na nogę.

- I co, Jose, doszedłeś do wniosku, że lepiej późno niż wcale?

W oczach Jose na ułamek sekundy pojawił się błysk gniewu.

- Tak, doszedłem. Zostanę z nią, Jack. Już na dobre. Mam stałą pracę. Wynająłem mieszkanie w Queens. Sam nie wiem, tak jakoś przestałem się z nią spotykać. Głupio się zachowałem. Przestraszyłem się chyba.

- A jak myślisz, co czuła Maria? Jose zwiesił głowę.

- To się już nie powtórzy. Mam naprawdę ładne mieszkanie, w sam raz dla nas trojga. Jeśli Maria mnie zechce... - W jego głosie brzmiała dojrzałość, której wcześniej mu brakowało.

Jack poczuł dumę. I ulgę.

- To zawsze jest wielkie pytanie, prawda? Czy kobieta cię zechce.
Pielęgniarka odchrząknęła.

- Wiozą ją już na salę porodową. Pospiesz się, chłopcze, jeśli chcesz przy tym być.

Wyraz zachwytu i podniecenia malujący się na twarzy Jose rozproszył ostatnie wątpliwości Jacka.

- Idź, chłopie. Powiedz Marii, że czekam tutaj. Dla zabicia czasu kupił paczkę gumy do żucia i podszedł do wielkiej szyby, przez którą mógł spojrzeć na salę noworodków. Leżały tam raptem trzy smacznie śpiące niemowlaki.

Niczym dziecko przed witryną sklepu ze słodyczami Jack przykleił twarz do szklanej tafli. Zapatrzył się. Kochał takie maluchy. Dzieci. Zawsze chciał mieć własne, ale do tego potrzebny był ktoś jeszcze w jego życiu. Konkretnie - żona.

Przez te wszystkie lata, jakie minęły już od śmierci Annie, spotkał tylko jedną kobietę, z którą gotów byłby się ożenić. Problem w tym, że ta akurat go nienawdziła.

- To dziwne, jak się niekiedy sprawy układają - usłyszał miękki kobiecy głos za plecami.

Jack zeszywniał. Nie miał odwagi się odwrócić. Wreszcie zmusił się do tego.

Miał przed sobą Madeleine. Z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy i futrem przerzuconym przez ramię.

- Maddy? Co ty tu robisz? - zapytał, gotów porwać ją w objęcia.

- Byłam u Marii - powiedziała, spoglądając w głąb korytarza. -

Zamiast zajmować się wypisywaniem czeków w swojej wieży z kości słoniowej.

Poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- Nie powinienem był tego mówić.

- Gdyby nie ty, nadal bym w niej tkwiła. Szeroko otworzył ramiona.

- Witaj więc w realnym świecie. Znowu spojrzała w głąb korytarza.

- Ten chłopiec jest strasznie młody.

- Obydwoje są strasznie młodzi. Ale trzeba wierzyć, że im się uda...
- Riley! - Metalowe drzwi w głębi korytarza otworzyły się z impetem. - Chłopak! Chłopak! Wesołych Świąt! - krzyknął Jose i znowu zniknął.

Jack uśmiechnął się szeroko. Na twarzy Madeleine dojrzał ten sam uśmiech szczęścia. Nie przypominała teraz ani Grace Kelly, ani Doris Day. Nie przypominała nikogo. Była sobą, roztaczała wokół własną, niepowtarzalną aurę. Aurę kobiety, którą kochał.

- Uczcijmy to - powiedział, wyciągając ku niej paczkę gumy do żucia. Zaśmiała się i wzięła jeden listek.

- Już prawie północ. Chodź. - Pociągnął ją do drzwi z napisem „Patio”, za którymi znajdował się taras-palarnia, pusta w tę mroźną, wigilijną noc. - Myślałem, że uda się wypatrzeć Świętego Mikołaja, ale mamy pecha.

- Jak pięknie! - Madeleine z twarzą rozświetloną zachwytem spojrzała w dół na skrzącą się refleksami świateł rzekę, na zarys Mostu Brooklyńskiego, panoramę Manhattanu.

- Tak, pięknie - potwierdził, nie odrywając oczu od profilu Madeleine.

Jej uśmiech zgaś.

- Nie mówmy teraz o...

- Musimy o tym porozmawiać. Czytałem twój wstępniak. Naprawdę rzeczy mają się aż tak beznadziejnie?

- Spójrz prawdzie w oczy, Jack. Popatrz, jaką grę prowadziłeś, oszukując mnie cały czas - powiedziała gniewnie.

- Popatrz, jak łatwo dałaś się zwieść pozorom - odparował.

- Zakpiłeś ze mnie. Jakbym nic nie czuła, jakby było mi obojętne, że jestem manipulowana. A wszystko tylko dlatego, że ty i pewien krawiec mieliście ochotę się zabawić. Przyznaję, dałam się podejść. Byłam żałosna. Łatwa zdobycz dla księcia z bajki.

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Posłuchaj, jesteś teraz w realnym świecie, a nie w jakiejś cholernej bajce. Skomplikowanym, trudnym, ale realnym. Jeśli nie możesz

poradzić sobie z...

- Jack? - przerwała mu.
- Tak?
- Zamknij się.

Zrobił, jak kazała, tym chętniej, że stanęła na palcach, zarzuciła mu ręce na szyję i podała usta do pocałunku.

W oddali odezwały się dzwony kościelne, głoszące Boże Narodzenie. Niczym człowiek przebudzony z głębokiego snu oderwał usta od jej warg i spojrzał w ukochaną twarz.

- I co teraz? - szepnął.
- Będziemy żyli długo i szczęśliwie?
- Przepraszam, księżniczko. Nie wiem. Nic na to nie poradzę. Zbyt wiele wad charakteru. Ropuchy nie zmieni się w księcia.

Przesunęła dłonią po jego nie golonej brodzie.

- Uwielbiam twoje wady.
- Powiem ci coś, Maddy. Dam ci coś ciekawszego niż „żyli długo i szczęśliwie”. - Wziął głęboki oddech. Zauważył, iż mimo siarczystego mrozu poci się. Ale nigdy jeszcze nie był równie pewien żadnej decyzji, jak tej, którą właśnie podjął.

- Co takiego mi dasz? - zapytała cicho.
- Coś prawdziwego. Miłość. Na zawsze. Codziennie. Co noc. Do końca życia. Jak to brzmi?
- Jak spełnienie marzeń. Mój Boże... - W jej oczach zalśniły łzy. - Zbiera mi się na płacz.

- Poradzę sobie.
- Zwariuję przy tobie.
- Jesteś zbyt seksowna na wariatkę.
- Zamknij się i pocałuj mnie jeszcze raz. Wesółych Świąt, Jack!
- Wesółych Świąt, ukochana!